SZKICE

OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

(Każda powieść tego zbioru przedaje się osobno.)

SZKICE OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Powieść Piąta.



Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. ilno 1840 roku 12 Listopada.

Cenzor Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego

Jan Waszkiewicz.

STAŃCZYKOWA

KRONIKA.

OD ROKU 1503 DO 1508.

Osiémdziesiąty prawie rok żywota nędznego na tym świecie dopędzam; czwartego oto króla na tronie widzę, a co ludzi i wypadków przezemnie przeszło, policzyć trudno. Niewesoła starość przyszła, po bardzo wesołém na oko życiu, które nie jedno w środku jadło cierpienie, jak robak toczy owoc, rumiany po wierzchu Jużem ja niezdatny nawet przed królmi błaznować, jako to dawniéj niegdy bywało, za starego Zygmunta, ba za Alexandra jeszcze. A zmieniły się dobrze i czasy i ludzie, zmienił się i Stańczyk. Dobrze że na starość nie wypędzą ze dworu, jako czynią z drążnikami kiedy im sił zabraknie, dzwigać kosze; podziękować trzeba za kątek spokojny i suknią przystojną, boć to wszystko łaskawy chleb, nie inaczéj.

A dobrze to gdzieś powiedziano, że gdy się twarz pańska od ciebie odwróci, to z nią wszyscy pierzchną w inną stronę. Miłościwy pan Stańczykowych gadek, jak nieboszczyk ojciec nie słucha, trudno z językiem w pole, kiedy uszu nie dają; albo, co gorsza, sarkają na mizerne słówko, byle się z ust wymknęło. Co Stańczykowi począć? — siedzieć za piecem i ciepłe piwko popijać póki jeszcze zapiecka i kufla stanie, a z torbą i kijem nie wyprawią. Nudno to prawda człeku, przywyknąwszy do ludzi, zostać pustelnikiem wśród zgiełku i zaprzeć się samego siebie, ale co począć? łbem muru nie przebijesz. A toć może i dosyć na świecie błaznować. Służyło się długo, niezdatnyś, pójdź precz.

I gdzie się podziało i w co się obróciło, tyle lat życia, tyle siły, tyle znoju? Poszło to, jak Bóg przykazał, by dym z wiatrem w pole, nie złapiesz, nie złapiesz! A przypomniawszy teraz, gorzko w sercu, boć inni ludzie życie kończą, jak owi ewanieliczni wyrobnicy, co po zapłatę przychodzą i biorą ją, gdy słonko zajdzie; a ja głupi, jaką wziąłem zapłatę? com zebrał? co po mnie zostanie? — Stara opończa,

kij, uszata czapka z dzwonkiem i niepoczciwe wspomnienie. Położą mi na grobie (i to mi się należy marnotrawcy), położą mi napis.

— Tu leży Stańczyk, który życie zaszył w czapkę błazeńską!

A kto by się był tego spodział, za młodych lat, że taka starość przyjdzie? Trzeba się było spodziewać; ale cudze za lasem, a swego nie widzimy pod nosem. Prorokował ja nie raz, nie dwa, Panu Zygmuntowi i Pani Izabelli, przepowiadał i teraźniejszemu Królowi Jegomości, a sobie nie przepowiedział jak mi się skończy. Niedobry za się koniec, nie było go, co zdaleka wyzywać—tamci co mnie lubili, poszli na drugi świat; zostałem się z młodszymi, którym starego Stańczyka żarty nie do smaku. Bóg że z wami, byleście mi dali kąt i kawałek chleba, mało stoję o łaski, nie wrócicie mi życia, reszta fraszka.

A jak przyszły długie dni, z któremi niewiedzieć co począć, bo ich nie przespać, ani na rynku przehulać, to jeszcze wziąwszy pióro w rękę, siędę pisać swoją Kronikę. Pisząc wszyscy kroniki, Prałaci, Biskupi, ziemianie, ba i mnichy po celach, co niewiele świata wi-

dzą, a tylko im kiedyż tedyż, dójdzie połamana gadka do uszu; lepiéj ci ja potrafię com spędził kilkadziesiąt lat na dworze trzech Królów, a czegom własnemi oczyma nie widział, (mało tego było) tom od świadków, i od samych zaczyńców słyszał. Dobrze mi za się wszystko w głowie uwięzło, bom co innego nie czynił, anim wojował, anim się uczył, anim urzędu sprawował, tylkom cudze sprawy uważał i szydził z nich a błaznował. Toć, począwszy od Alexandrowych czasów, po dzień dzisiéjszy, nie mało wody ubiegło i ludzi się przewróciło i wojen przeszło i głupstwa poczyniło; będzie o czém pisać. A za się, nic mi po wojnach i owych sprawach wielkich, które drudzy wpisują w kroniki swoje, albo którego tam dnia i godziny urodziła się córka Królowi, a którego roku i miesiąca umarła; toć to owe mnichy a prałaci szeroko rozpiszą. Mnie się dostało, jakom za żywota na ludzi patrzał, tak ich teraz opisywać. Powiedzą iście Stańczykowa Kronika, jak Stańczykowe życie, a prawie błazeńska; rzekę im, Miłościwi Panowie, wasze Kroniki też, jako wasze życie, wiele w nich hałasu a gadania, rzeczy za się mało.

Boć, Waszmość napiszecie tam, jako którego dnia, godziny, minuty, ten się urodził, albo umarł, ale nie napiszecie jako żył. Jeden z was z bojaźni, drugi dla pochlebstwa, prawdę ominie. Napiszecie za się o wojnie, jako tam wiele ludzi padło, jako ten dowodził, jako zwyciężył. I tu daj Boże, aby całą prawdę; ale cóś o tém wątpię. Toć w waszych Kronikach, wojny tylko, a urodziny i śmierci stoją; a życia za się niéma żadnego. Zapisujecie choroby, a nie zapisujecie zdrowia, boć wojna choroba to kraju, jako inny ból, pojedyńczego człowieka. A całeż by to było życie, gdy kto opisał tylko urodzenie, choroby i śmierć? O, iście nie całe jeszcze. Tak to i wy czynicie co Kroniki naszych czasów piszecie; rok po roku zbiérając tylko cudowiska i wielkie wypadki, zapominacie o pospolitém życiu, którego przecie więcéj niż czego innego. I nie same wielkie wypadki, ciekawe, ciekawsze małe, bo z nich rodzą się jako z jaja, owe większe; a wy też zapominacie o skorupie, gdy wam kura gdaka, co z niego wyszła. Toć niesłuszna. I jeszcze jedno; uważałem jako w Kronikach waszych sami tylko wielcy tego świata miejsce

mają; a kędyż ono o małych będzie, boć ich daleko więcéj, a i oni żyli, toć i oni Kroniki swoje dla przyszłego wieku mieć powinni? Wzruszycie ramionami, a rzekniecie, — Owo znów stary Stańczyk błaznuje — Tać, wam się wszystko błazeństwem wydaje, kromie tego, co istném jest; prawcie swoje, a mnie mego dozwolcie, boć wilk zajęcowi wymawiać niéma, że on scierwa nie je, kiedy mu ono nie smakuje.

Pocznę tedy; a naprzód jakem się urodził i jako się na dwór nieboszczyka Pana Alexandra dostałem, który mnie po śmierci swéj, ze psy i sokołami bratu Zygmuntowi zostawił. Boć nie wiele więcéj po nim mienia dostał. Nie powiem wam nazwiska uczciwych rodziców moich, którzy byli rycerskiego stanu i poczciwéj sławy a urodzenia ludzie, abym snać nie pokałał innych krewnych moich, którzy tegoż imienia i herbu dotąd zażywają. Zaparli się oni mnie i dobrze uczynili, bom się ja sam swego stanu zaparł, wziąwszy dzwonki miasto pałasza, a szachowaną suknię miasto zbroi, i poszedłszy wojować z głupstwem ludzkiém, com miał z nieprzyjaciołmi naszemi. Rodzic

mój, Panie mu daj pokój wieczny, miał kawałek ziemi niedaleko Krakowa, spokojnie na nim siedział a gospodarzył odbywszy nie jedną wyprawę, boć młodym jeszcze będąc, chodził z Władysławem Warneńczykiem na Turka, a potém już letni, był jeszcze na Bukowinie. Jednego on tylko mnie miał syna, a urodziłem mu się z drugiego małżeństwa, gdy już był nie młody, i pono potomka przestał
1484. się spodziewać. Było to roku pańskiego 1484: w miesiącu Marcu, trzeciego dnia, jak poźniéj na okładce książki ojcowskiéj czytałem.—Cóż o młodych leciech rzec? były one jako wszystkich młodych ze swawoli i szczęścia uszyte, pieszczoty otoczone, wesołe; życie się zaczyna bez mała każdemu, jak słonko wschodzi najczęściej — pogodą; — potém za się o południu przychodzą chmury, a nad wieczór burza. Aleć tu, skoro chmury nadeszły, bo rodzic mój, nie wiedzieć czemu mnie nie lubił, chociem u niego był jedynakiem, ale mnie nie pieścił i nie psował, jako pospolite niesie przysłowie, owszem surowy był z dzieckiem do zbytku. Nie pamiętam aby kiedy na kolana mnie wziął, uscisnął, i czémkolwiek

serce ojcowskie ku mnie okazał. Macierz za to miła, istnie jedynaka we mnie pieściła i lubowała się w dziecku. Tak ci z jednéj strony surowość bez miary, z drugiéj miłość bez pomiarkowania, kołysały mnie w dzieciństwie. I rosłem nic dobrego, próżniak, urwis i łotr jakich mało do swawoli tylko a figlów prędki, do pracy niezdara, postrzegłszy to ojciec, surowości podwoił, a matka za się przywiązania. Jęły się z tąd waśnie między rodzicami; biédną matkę moją obił raz ojciec po pijanu, aż z tego zachorzawszy i kilka miesięcy przeleżawszy, umarła. Może gdyby ona była żyła, inaczéj bym ja poszedł na świecie, ale stało się i już się nie odstanie. Po śmierci matki ojciec ku mnie srogości podwoił, ja rozpusty; a rosnąc coraz mniéj się bałem i przemyślniéj broiłem sobie. Bywało dnie całe latam po polach, po lasach z chłopcami, zasiadamy na drogach, straszym podróżnych, łapiem z paszy konie i hulamy. Powrócę do domu, ojciec wybije, poskrobię się i zasnę; zamknie, to wydrapię się strzechą; nazajutrz znowu bije, a ja swoje. Aż ojcu najadło mnie siec bez ustanku i oddał do Krakowa do szkoły przy łumie, gdzie

było wiele szlacheckich chłopiąt, co ich tam czytać i śpiéwać uczyli. Tu się w najlepsze poczęła swawola, bo było kogo sobie, towarzyszem dobrać. Mało my się tam uczyli, więcéj nas do posług xięża wikarjusze używali, ba i dziady kościelne wyręczali się nami nie raz. Ale za to było kiedy i po swawolić, tośmy też sobie po póty pozwalali. A miałem naówczas lat z piętnaście, bo to było około *1499.* ostatniego roku, tamtego wieku, a za panowania u nas Olbrachtowego, jako to możesz znaleść w onych Kronikach, o których mówiłem wyżéj.

Nic to jeszcze na wsi swawola, z chłopięty biédnémi, w mieście to dopiero, wyuczyłem się sztuk różnych. A choć mnie wszyscy i siłą i zręcznością przenosili, żaden mi wcale w dowcipie nie sprostał Z tego też, oni silni, oni zręczni, którym brakło rady w najmniejszéj rzeczy, mnie słabego, com ich nie raz z biédy wywiódł, słuchali. I najsłabszy między niémi na oko, rej wodziłem w istocie. A tu pono czas powiedzieć, jako mi się już młodemu świat począł wydawać. Boć są co go biorą, jego i sprawy ludzkie, jako rzecz smutną,

są co głęboko nad niemi myślą i tajemnic jakichś dociekają; mnie za się od razu świat i życie wydali się, (ba i teraz nie inaczéj) trefną tylko igraszką, zabaweczką dziecinną. I tak nawet najswiętsze rzeczy, którym inni pokłony bili, a szyję przed niemi zginali, dla mnie były trzęsidłem dziecinném. Śmiałem się z wojny, śmiałem się z wesela, ze strasznego nawet xiędza Scholastyka który nad nami miał przełożeństwo. A bili mnie, tom się śmiał jeszcze myśląc: ból przejdzie, ubiją w śmierć, to tyle tego, nie będę cierpieć. Z tąd mi się wzięła pogarda wszystkiego sroga a niezwyczajna w onym wieku dziecinnym, lekceważenie przyszłości i ludzi. A com winien, że mnie Bóg takim stworzył? poczęto mnie nawet w szkole z tego znać, starsi się dziwili, aż powiedziawszy sobie że mi rozumu spełna brak, porzucili. Aleć pojmowałem ja wszystko jako oni, a nie brakło mi nic, dzięki Bogu, tylko onego zamiłowania życia, a uszanowania dla świata, które oni mieli.

Ojciec za się oddawszy do szkoły, ani się prawie dowiedział, co się z jego dzieckiem działo. Bywał nieraz w Krakowie, mało nie co

tygodnia, ale stawał w gospodzie na przedmieściu, a do mnie i nie zachodził. Widząc tę obojętność własnego rodzica drudzy, obojętniejsi jeszcze jęli być dla mnie i poniewierać jako w najlepsze. Alem im oddawał pogardę z lichwą, szydząc z nich tysiącznemi sposoby. A mimowolnie serce jakoś krwią zachodziło, że mi zimno było na świecie, i nikt mnie nie kochał; ja nikogo nie mogłem. Starsi i rowieśnicy poniewierali mną, jam się mścił za poniewierkę szyderstwy, których wszyscy słuchali, by rodzonego jego brata tykały; — ale zacząłem czuć pustkę w życiu nie małą i żądać innego. Nie było go przeznaczono dla mnie; musiałem iść wybitą drogą. A chociem się śmiał i szydził jako wprzódy, były momenta, żem surowo o sobie i o onym otaczającym światu myślał. Zawszeć wszelako zdawał mi się świat śmieszny, zły, brzydki i na jedną chyba igraszkę stworzony. Ale co wprzódy sam tylko śmiéch w nim widziałem, to teraz zło postrzegłem. Tylkoć i wszystko zło, głupstwem mi się wydawało, boć i tak jest; a niéma złego, coby w jakiém głupstwie początka nie brało.

Rosłem tedy rozpasany na wszystką swa-

wolę, nie hamowany a podżegany, szumiąc po ulicach Krakowa.

Tym czasem umarł i Król Olbracht w Toruniu, kto wié z czego, bo ludzie o tém
1501. różnie prawili, a Kroniki piszą iż z apoplexij, jako i jego własny Medyk Miechowita ręczy. Mało go pomnę, ale ludzie gadali, że był mężny i czytać lubił a sługi swe hojnie nagradzał, tylko nad miarę czasem jako młody pustował a ucztował. Po jego śmierci, Alexander z wojskiem podszedłszy a puściwszy głosy z Litwy, że się miał dobijać, gdyby mu nie dano, korony, osiadł na królestwo; wjechawszy do Krakowa, jako pomnę w tysiącu czterechset koni, bojąc się przenagabania Władysławowego. Alić wszystko poszło spokojnie, a moje życie jako wprzódy się wlekło. Tylko że już znało mnie całe prawie miasto, z onych tręfnych żartów i błaznowania mojego, a iżem stawał przed szkołą, upatrując przechodniów, żeby z nich szydzić i psoty im wyrządzać, nazwano mnie było Stańczykiem, a to imie mi zostało po dziś dzień i drugiego niémam.

Jeszcześ tak wszystko jedno czas płynął, bo mię ojciec ze szkoły nie odbierał, chociem

był wyrósł na chłopa dobrego; a mnie nie bardzo chciało się wracać do domu, bom był skosztował rodzicielskiéj miłości.

W lat dwa pono, po Olbrachtowéj śmierci, trafił mi się on wypadek, z którego i
1503. całe życie poszło. Żył w Krakowie na on czas, brat Królewski Fryderyk Kardynał, Arcy-Biskup Gnieźnieński, najmożniejszy i najpotężniejszy (gdyby był jeno chciał nim być) po Królu. Ale jemu to nie było w głowie. Zrobili go mnichem mimowoli, za młodu, kiedy się nie postrzegł, że mu nie być xiędzem; potém za się nie czas się było wracać; a i duchownego chleba nie chciało się rzucać bo go było podostatkiem. Pan to był postawy wielkiéj, oblicza miłego, ale cale nie mniszego, raczéj do szabli stworzony, a tu go zakapturzyli nie w porę. Lubił się bawić i trefnych gadek słuchać, żeby go kto bez ustanku smiészył; bo skoro go kto nie zabawiał, wpadał w srogą melancholją.

Jednego czasu, było to, jakem rzekł, po śmierci Olbrachtowéj, stałem ja zwyczajem swoim, podle wrót szkolnych, patrząc w ulicę, na ten światek, com z niego szydzić lubił: a mierzchało się i wieczór padał — spójrzę, wali

się tłum jakiś ku szkole. Pieszo idą, śpiewają wesołe piosnki, śmieją się na całe gardło, inni podskakują, a w kobiecém ubraniu przodem sunie się jakaś poczwara. Tylkom spójrzał poznałem, co to jest, bośmy wszyscy wiedzieli: zabawy Królewica Fryderyka, jako je lubił szumne a wesołe; przypatrzę się lepiéj onéj kobiecie co przodem się sunie, a to kardynalski trefniś przebrany i widać mu z pod fartuchów, szachowany strój, a z pod czółka żółte wąsy stérczą. No, pomyślę, trafiliście na swego, ino mnie trefniś zaczepi, dam mu dobrą odprawę. I wysunąłem się umyslnie naprzód, aby mnie zobaczył; anim wątpił, że mnie musi zagabnąć.

Tak się i stało. Tylko się zrównali ze mną, aż on trefniś udający kobiétę podchodzi prosto ku mnie. Ja patrzę czy blisko kardynał. A on kroczy tuż, i za boki się trzyma od wielkiego wesela; ciągną się za nim różni, ze dworu jego. Podchodzi ów ku mnie w kobiecej sukni i poczyna swoje; wszyscy się zatrzymują, bo pewni że śmiech złapią, a ja rad, że się popiszę. Pocznie on:

— Witaj mi pacholę, nie chcesz-li pójść ze mną?

Stali wszyscy, bo myśleli, że pocznę ucie-

kać, sromać się, albo bełkotać bez ładu, a tego im i trzeba było, a trefnisiowi najbardziéj; ale niedoczekanie ich, wysunąłem się szparko do onéj mniemanéj niewiasty i pokłon jéj oddając nizki zawołałem.

— Witaj Lucyperowa miłośnico, a kędyż to chcesz, żebym z tobą szedł, do piekła!

Trefniś wrzekomo osłupiał na tę odpowiedź, kardynał oparł się aż na jednym ze swoich śmiejąc do rozpuku, inni pokłaskiwali. Ale i onemu trefnisiowi nie brak było oleju, widząc że trafił na swego, jął już z innéj beczki.

— Zkądżeś to poznał, żem Lucyperowa żona? spytał —

— Po szafranowych wąsach, odpowiedziałem. Nowy śmiech choć nie było z czego.

— A no daléj! zawołał kardynał.

— Jeślim ja żona najstarszego diabła, rzekł trefniś, toś ty pewnie chyba mój synaczek co go na mamkach ukradli, tak mi cóś wyglądasz. Poznałam cię, bo jeszcze mléko masz pod nosem.

— Kiedy tak matuniu, odpowiedziałem, toś my blizcy krewni, chociem się tego nie spodziewał; poznaj że mnie z tymi diabłami, którzy twój dwór składają.

Na tak śmiałe nazwanie, które i Królewica dotykało, niektórzy, sam nawet trefniś, polękali się, ale ja inom spójrzał na kardynała, poznałem że się nie rozgniewał i dalej swoje.

— Powiedz-no mi matuniu, rzekłem, kto to taki, co mu oczy w głowę powłaziły zupełnie, a język na wierzch wyjechał! i wskazałem na jednego dworaka.

— To, to — zamruczał trefniś i nie dokończył, bo błaznował tylko z tymi, których się nie obawiał, a bał się okrutnie wszystkich dworzan.

— No! cóż, nie powiesz? podchwyciłem widząc że kardynał śmiał się już z opiłego dworzanina — Samaś poczęła, a już języka w gębie zapomniałaś? hę?

— E! rzekłem po chwili, to ty tylko diabelską Jéjmość udajesz! I porwę się do trefnisia, a zedrę mu czépiec z głowy, aż mu żółte kudły opadną na ramiona. On do mnie, ja w bok, a kardynał stojąc śmieje się do rozpuku. Tu dopiero pocznę go z onych kobiécych strojów odzierać. On się broni jak może, ale ani postrzeże się jak go, to tu, to tu szczypnę, a za każdą razą łachmana kawał obedrę, aż

w chwilę został w szachowanej tylko błazeńskiej szacie, wołając abym mu dał przecie pokój.

— Toś ty trefniś, zawołałem na niego, gdym go odarł całe, a no, poczekaj, będę cię pytał, czy ty umiesz swoje rzemiosło.

Kardynałowi wielce się podobała moja przytomność i śmiałość, nie tylko się nie pogniewał, ale jeszcze zachęcać się zdawał skinieniem. Mnie też nie trzeba było o to prosić. Poczę tedy pytać trefnisia, który przytomność tracił, coraz to gorzéj.

— Co robisz kiedy się upijesz?

Zdobył się na odpowiedź przecie.

— Śpię.

— Toś głupi, odpowiedziałem, człowiek pijany najszczęśliwszy, a ty śpisz i we śnie grzebiesz szczęście. Tyle i życia co szału, śpij kiedyś trzezwy. A to piérwszy raz łapię cię na złéj odpowiedzi, teraz druga próba;

Kardynał klaskał z radości, tak mu się to podobało, dwór jego słuchał ciekawie ja, coraz jeszcze śmielszy się robiłem.

— Wtóre pytanie, zawołałem, jaka kobieta najpoczciwsza?

Trefniś się zamyślił, a potém wybęknął.

— Która mężowi wierna.

— Toś już cały głupiec, odpowiedziałem, nic nie wiesz. Cale przeciwnie — ta najpoczciwsza, która męża zwodzi, bo mu zbrzydzi świat ten i tuteczne marności, a wyprawia go na drugi, gdzie cale lepiéj, jak xięża powiadają. A zatém daje mu trwałe za doczesne szczęście.

Śmiały mój argument rozweselił znowu kardynała i dwór jego.

— No, teraz trzecie pytanie, a jak na te nie odpowiesz, rzekłem do trefnisia, to ci zedrę twoje suknie, boś nie wart ich nosić.

Trefniś chciał precz, ja go za kołnierz zatrzymałem.

— Nie, nie ucieczesz, gadaj że i błaznuj kiedyś w błazeńską suknię obszył. — Otóż trzecia próba. — Jaki jest największy pan na świecie? spytałem.

— Osobliwsze pytanie, rzekł trefniś, ten który ma najwięcéj złota!

— Tożeś się zabił i dokończył, odpowiedziałem nie puszczając go z ręku — Największy pan, kto najmniéj potrzebuje, bo mu tego dosyć co ma.

Kardynał pokiwał uśmiechając się głową, a ja do trefnisia i nuż go z jego szachowanéj sukni odziérać. On w krzyk, kardynał w śmiéch, wyciągnął ręce do pana prosząc, aby go bronili, ale wszyscy się śmieli. Ja też to widząc rozebrałem go zupełnie, wdziałem jego strój na się, a rzuciwszy mu moją łataną opończę, rzekłem.

—Nie warteś być błaznem, idź się uczyć do szkoły, a ja twoje miejsce zajmę. Królewicz pękał się ze śmiechu, porzuciliśmy trefnisia w ulicy, a sami poszli daléj. I o to jakem się dostał naprzód na dwór Jego Mości Pana Fryderyka. Tu jeszcze trefnemi żartami podobałem się bardziéj mojemu panu i rozweselałem go z całych sił, tak że w końcu kazał podskarbiemu swojemu wyliczyć mi kilkanaście florenów; ale ja nie przyjąłem i rzekłem.

—Jak mi Wasza Królewska Mość, dasz co roku opończę, strawę, a czasem dobre słowo, to mi będzie tego dosyć, a będę mu wiernie służył. Kat mi po pieniądzach.

I tak stałem się sługą jego i trefnisiem, a ów dawny ani się więcéj dla wstydu pokazał, dowiedziawszy się, żem na prawdę miejsce jego

zastąpił. — Smakowało mi to życie swobodne, wesołe, pełne wrzawy, pełne ludu, z którego się dowoli naśmiać było można; pomyślałem sobie, to to właśnie com się urodził, będę bezkarnie ze wszystkich szydził i nie myślał o jutrze a kawałku chleba, na który drudzy w pocie czoła pracują.

Ojciec mój, jak się tylko dowiedział co się ze mną stało, wpadł w gniew wielki i przysiągł że jeśli mu się kiedy na oczy nawinę, swoją mnie ręką ubije, wyrzekł się mnie cale, całe mienie synowcowi zapisał i wkrótce potém zmarł. Po którymem ja płakał trochę, a majętności ojcowskiej nie dochodziłem na stryjecznym bracie, choć mi tego drudzy bardzo doradzali, żem miał łatwo z pomocą pańską dostąpić. Alem tego, jako żywo nie uczynił i zostałem trefnisiem jako przedtém, ciesząc się swobodą, że mnie nikt nie miał odtąd prawa i słowa pisnąć, na to com mógł czynić.

Rok prawie cały byłem w służbie królewi-
1503. czowskiej gdy nagle wzięła go choroba, na którą co lekarzy sprowadzali, żaden nie poradził. W ostatniej téj słabości, com mógł czyniłem, aby go rozweselić, bo mi był

dobrym panem, jako i dla nas wszystkich sług swoich. — Aliści dalej gdy choroba górę wzięła, obaliło go o łoże iż więcej nie powstał biedak. Chodzili lekarze probując wszelkich leków, opłacano je drogo z za morza, a nic nie pomagały, Królewicz za się do ostatka miał nadzieję że wyzdrowieje, choć prawie konał; czuł w sobie siły jeszcze do żywota dłuższego i mógłby był żyć bo umarł trzydziesto pięcio letni. — Był na on czas Alexander Król w Krakowie, który brata odwiedzając, widywał mnie u niego i nieraz mnie słychiwał; temu czując się bardzo źle, polecił mnie Fryderyk i wymógł słowo, że na dwór swój trefnisiem weźmie. Po śmierci kardynała, kazał mi Król do siebie, chętniem był posłuszny. Dano mi barwę trefnisia, strawę od królewskich dworzan stołu, i mały jurgielt, co roku prócz tego, bywały podarunki na kolendę i inne święta. Król Alexander dobry to był pan i nadto podobno dobry dla wszystkich. Wodzili go wszyscy za nos, jako chcieli i kędy chcieli; ulubieńcom jego wszystko było wolno. Szczodry aż do zbytku, co miał rozdawał łatwo, nie patrzając jutra. Lubił też stroje wytworne,

dwór swietny, uroczyste obchody, wspaniałość, muzykę, tłum koło siebie; a wszystko to drogo kosztowało Lada oszukaniec co mu się przypochlebić umiał, wyciągał ze skarbu ostatki. Do wojny nie zdatny, boć jéj nawet pono nie probował, ciągle jednak zagrożony był ze wszystkich stron wojną. Sam Pan Bóg wie, jak się z tego niefortunnie wykręcał. Ale to zobaczysz gdy dalej lata jego, które z nim przebyłem, opiszę. Zaraz, gdym na dwór Królewski przystał, jechaliśmy do Litwy,
1504. potém znowu do Krakowa, gdzie przezimowawszy ciągnęliśmy do Prus, dla wzięcia przysięgi z nowego Mistrza Fryderyka, ale ten wykręcając się od niéj, przed nami ujechał.

Tym czasem poczęły się nie małe burdy w Litwie, które ciągnęły się jako zaraz ujrzycie, do śmierci Alexandrowéj, ba i za Zygmunta jeszcze, a tych była przyczyna piérwsza taka. Był na on czas w Litwie Kniaż jeden Ruski Michał Gliński, przemożny za się, wiele znaczący, odważny a zręczny i dochcipny. Ten ostatniemi czasy Króla słabego był zupełnie opętał, iż nic bez niego nie czynił, a co on

chciał tylko, rozkazował. Panowie litewscy którzy byli rzymskiego wyznania, nienawidzili go srodze, a dla jego przemożności i związków z Ruskimi Kniaziami i majętności wielkich, jakie miał na Rusi, podejrzewali go nawet, iż za życia jeszcze Alexandrowego, budował sobie rusztowanie, po którém by się dostał na wielkie Księztwo Litewskie. Najsroższym nieprzyjacielem Kniazia Glińskiego, był Zabrzeziński Wojewoda Trocki, pan też możny, z którym byli pierwsi Senatorowie Litewscy, wszyscy nieprzyjaciele główni Glińskiego. Poczęło się to pono między Glińskim a Zabrzezińskim, o marną rzecz, o miłosnicę jedną; a co potém ta zwada złego nam narobiła, toć już wszyscy wiedzą. I Gliński i Zabrzeziński mieli oko na jedną dziewczynę, którą oba równo mieć chcieli. Aleć czy to trafem, czy zręcznością, czy przywiązaniem, czy pieniędzmi, Zabrzeziński skłonił ją nareście ku sobie; tak iż przy nim pozostała. Tryumfował tedy bardzo i śmiał się z Kniazia, a kędy się jeno spotkali, nie obeszło się bez zwady; odgrażać się też jął Michał na Wojewodę Trockiego, że mu głowę weźmie, a Zabrzeziński odpowiadał—

— Tak będziesz mieć głowę moją, jako masz miłosnicę.'

Szedł tak rok za rokiem. Tymczasem Król dał Starostwo Lidzkie Krzysztofowi Iliniczowi, związanemu z Zabrzezińskimi i innymi nieprzyjaciółmi Glińskiego, a Kniaź Michał w porę się nie opatrzył, nie będąc u dworu, dawszy słowo swemu powinowatemu Andrzejowi Drozdowi, że dla niego u Króla Starostwo wyjedna. Toż gdy ono na dwór przybył, a o liście danym na Lidę Iliniczowi dowiedział się, wpadł w gniew Kniaź Michał, i jako był zręczny, jął tak Króla umawiać, prosić, przedstawiać różne potrzeby i okoliczności, że Alexander, jako był miękkiego serca Pan, począł się chwiać w swojém słowie a na ono naleganie, już przyrzekał Lidę znowu Drozdowi oddać. Byłem ja pomnę w komnacie królewskiej, gdy Kniaź Gliński, obsedował prośbami nieboszczyka. Alexander milczał i pot z czoła ocierał, po chwili obrócił się do mnie i rzekł.

— Stańczyk, osądź ty tę sprawę.

— Na prawdę Naijaśniejszy Panie? spytałem.

—Na prawdę, co zrobić z prośbą ustawiczną

Kniazia Michała, wszak niepodobna mu odmówić?

— Hm! rzekłem, daj mu W. K. Mość nie tylko Lidę, ale całą Koronę i Litwę, kiedy tak pięknie prosi.

Król się uśmiechnął, ja wyszedłem, a nazajutrz Kniaź jechał do Litwy, odbierać Starostwo, mając list dla swego powinowatego Drozda.

Ale nim Kniaź dojechał, już tam wiedzieli, co się święciło i Iliniczowi donieśli, że go Glińshi wyrzuci ze Starostwa, bo ma drugi list królewski. Ilinicz też, pobieżał co najrychléj do Panów Senatorów, a naprzód do Wojciecha Tabora Biskupa Wileńskiego, do Wojewody Trockiego, Starosty Żmujdzkiego, Wojewody Połockiego Hlebowicza i Stanisława Piotrowicza Kiszki Namiestnika Smoleńskiego. Jął im z płaczem przekładać swoją krzywdę, potęgę szkodliwą Glińskiego, a nareście połamanie praw, które był Alexander Litwie poprzysiągł, gdy go wielkim Xiążęciem sobie obrali. Toż tumult powstał wielki między Pany Senatorami, a najbardziéj dowodził na Króla, Zabrzeziński, że przywileje któremi

państwo stoi, z poduszczenia złego człowieka. łamać chce i rządzić tylko po swéj woli, jako tego wprzódy nie bywało. Poszło to po głowach Senatorom, a najbardziéj Biskupowi, który był człek w wieku, poważny i sprawiedliwość miłujący. Zabrzeziński zaś z Iliniczem, jęli im przedstawiać, jako oni są stróżami praw krajowych i łamać ich dozwolić nie powinni, jako choćby Kniąź Gliński wymożone listy królewskie przywiózł, tedy spełnić rozkazów przeciw prawu, dozwolić nie lza i oprzéć się im bodaj siłą. Miał przyjaciół Ilinicz mocnych, jakoż choć to był krok zuchwały, uradzono dać pomoc w ludziach, aby go Kniaź z Lidy nie wyparł. A tak, gdy Drozd z listy królewskiemi obejmować Starostwo przybył, stanęli też z przywilejem oprzysiężonym przez Króla Panowie Senatorowie i niedopuścili go. Król pod ten czas znajdował się jakoś w Krakowie, pospieszył nie mogąc nic uczynić Kniaź Gliński, z żałobą na Pany Senatory i wielkiemi na onych skargami, jako się buntują, jako przeciw Majestatowi Królewskiemu burzą, jako posłuszeństwa oprzysiężonego nie dochowują i t. p.

Siedział Kniaź Michał długo w Krakowie, a Króla, którego znał, że na nim wszystko mógł, ugadywał. Alexander też srodze był obrażony iż się woli jego oparto, a sroźéj jeszcze poduszczony od Kniazia wziął to do serca. Szły więc rady za radami, co z Litwą począć. A Kniaź ciągle powtarzał Królowi, iż póty w niéj pokoju nie będzie, dopóki wszyscy oni buntownicy gardła nie dadzą. Król też słaby nie opierał się, ktemu i gniew go był opanował.

—Pojadę do Litwy, mówił i ukarzę ich wszystkich.

—Zła rada, odpowiedział Gliński sam to słyszałem, bo się mnie nie strzeżono wcale.

—A cóż począć?

—Co? szepnął Kniaź, co? zwołać Sejm do Brześcia, zjechać z pocztem polskich panów i szlachty, która z Litwą zawsze drze koty i Litwinów nienawidzi; tu Panów Senatorów sprosić do zamku, a zamknąwszy, osądzić i pościnać, będzie spokój i posłuszeństwo.

Rada ta podobała się Królowi, nic nie rzekł, namyślał się, Gliński za się, dopóty ją powtarzał ciągle, aż nią tak nabił głowę Królowi, iż

ją przyjąć musiał. Zaczém posłano, zwołując Sejm do Brześcia, jako to i po Kroni-
1505. kach najdziesz na dzień jedenasty Stycznia.

A tu nieco jeszcze dawniejszych rzeczy napomknąć muszę. Było jakeśmy rzekli wyżéj, dwa stronnictwa pod on czas w Litwie, jedno Rusinów, na którego czele stała królowa Jéj Mość Helena, Ruskiego rodu pani, nie małych przymiotów, a nadewszystko subtelnego dowcipu, że wszystko co chciała robiła, choć wrzkomo władzy nie miała żadnéj; pomagał jéj Kniaź Gliński, jako wiarą z nią zjednoczony. Drugie stronnictwo było polskie; Katolickie, Wojciecha Tabora, Zabrzezińskich, Kiszki. Oba one wpływały na umysł Króla z kolei wprzódy, był czas nawet takiéj przewagi Biskupa, że Królowę prawie gwałtem nawrócić chciał, a Król na to oczy zamykał, choć to mu wojną groziło; był czas że Biskup przybrawszy sobie xięży Bernardynów, obsedował królowę bez ustanku w oczach królewskich, a Alexander milczał; ale potém inaczéj rzeczy poszły, gdy z Glińskim jego strona górę wzięła. A tuż napomnę, że Kniazia Michajła nienawidzili

Polacy, jedno trzymając z Litwą, że on dąży do posiądzenia Litewskiego Xięztwa i oderwania go od Polski; przetoż wszyscy byli z Biskupem i Zabrzezińskimi, a skoro postrzegli że się cóś na onym Sejmie knuje, dali co narychlej znać Panom Senatorom. A tym czasem Kniaź Michał ciągle poszeptując Królowi, wyprawił się naprzód do Brześcia dla opatrzenia zamku który tam jest na wyspie prawie oblanej Muchawcem i Bugiem; czyli był jego zamiarom przydatny.

Znalazł jako chciał, a wcześnie przekupiwszy dowódzcę Zamku, który był Rusin jak i on, pospieszył nazad przeciw Królowi, który już na Sejm jechał saniami, kędy i ja na jego dworze byłem. Przybyliśmy zmrokiem do Brześcia we czwartek dnia jedenastego Stycznia. Z Królem byli Senatorowie Polscy, którzy już o zamiarach wiedzieli i postanowili niedopuścić, aby do domierzenia tak haniebnej kary przyszło; między innymi mądry Jan Łaski Kanclerz i spowiednik królewski Kanonik Krakowski Jan (*).

(*) Z Oswiecimia.

Pierwszego dnia, cicho było, tylko co się panowie zjeżdzali, Król zaś znaku po sobie żadnego gniewu nie dawał, a Kniaź Michał przystępniejszy był i ludzki więcéj niż kiedykolwiek. Król z całym dworem stał na zamku, Kniaź Gliński miał kwaterę podle w murowanym dworku, Senatorowie za się polscy nie odstępowali boku królewskiego, mianowicie zaś Kanclerz i Kanonik Jan. We dnie Kniaź kilka razy chodził do Króla i znowu szeroko mu przekładał, jako w Litwie panem nie będzie, póki tych wichrzycieli nie zgładzi, jako pora po temu, bo się niczego nie spodziewają i zwołani na zamek wejdą. Skoro zaś przybędą wrota przywrzeć, most spuścić, sądzić ich i tegoż dnia pościnać radził. Nawet, pewien swego, przygotował był na drugim podwórcu rusztowanie i kata sprowadził, którego przebranego wodził z sobą. Król też słuchając go, a coraz bardziéj jątrząc się, gdy mu opowiadał Gliński, jako tam Zabrzezińscy z Biskupem na niego głosy podnosili, jako grozili, jako się buntowali; do wszystkiego dawał ręce.

Aleć tu jeszcze Pan Bóg bronił onych Litewskich Senatorów, od pewnéj zagłady; bo

Kanclerz Łaski widząc Króla w tym gniewie, a nie śmiejąc go hamować, naradziwszy się z Xiędzem Janem Spowiednikiem, gdy już mierzchło onego dnia pierwszego, udał się w miasto, kędy byli gospodami stanęli Panowie Senatorowie Litewscy.

Jakby przeczuwał Kniaź Michał napotkawszy Kanclerza, który na koń siadał, spytał go —

— A dokąd to miłościwy Panie?

— Jadę się pomodlić, odpowiedział Kanclerz, do Ś. Ducha, aby mię natchnął co mam radzić a co odradzać.

Kniaź się rozśmiał.

— Wiecie, wy i tak Panie Kanclerzu co czynić macie — wiecie oddawna.

— Nie zawadzi wszakże modlitwa, rzekł Łaski, i wam ją Kniaziu radzę.

— Modlę się codzień, odpowiedział Gliński dumnie, ale Bogu jednemu z moich modlitw rachunek winienem.

Po czém rozeszli się, a Łaski ruszył w miasto, Kniaź do Króla, tu gdy się naradzają o jutrzejszych sprawach, Kanclerz tym czasem psuje wszystko. Wiedzieli Panowie Litewscy przybywając do Brześcia, że nie mile będą od Króla

przyjęci, ale zaiste nie spodziewali się takiego traktamentu, jaki im Kniaź gotował.

Ja że mnie nikt nie strzegł, a bawić Króla nie czas było, bo go Kniaź Michał trzymał od poranka do nocy, bijąc mu w uszy oną zagładą Panów Senatorów Litewskich; udałem się cichaczem za Kanclerzem. Z jednym tylko poufałym jechał sługą i prosto udał się do klasztoru, gdzie Zabrzeziński, Ilinicz i Biskup Tabor gospodą stanęli. Byłem prawie świadkiem jego przybycia i rozmowy, więc sumiennie to mogę wszystko opowiedzieć.

Nim jeszcze Kanclerz przybył, już pewni szpiegowie donieśli panom Senatorom, że Król na nich srożéj jest rozgniewany niżeli się spodziewać mogli, a płazem im owego oparcia się woli jego w liście Drozdowi danym wyrażonéj, nie puści. Przerażeni tém zebrali się byli wszyscy, aby o sobie myśleć i radzić i tu ich zastał mało nie cały Senat, posłaniec królewski, który jutrzejszego dnia rano na zamek zapraszał. Aliści ledwo on odjechał; a oni radzić poczęli, wszedł i Kanclerz Łaski.

Pośpieszył go witać stary Biskup Tabor, poczém gdy usiedli milczenie nastąpiło, a on

tylko wkoło się obejrzał, opatrując pilnie z kimby był.

Przejrzawszy tak, iż nikogo podejrzanego nie znajdowało się w komnacie, przybliżył się do Biskupa.

—Nie tajno wam, rzekł, zagniewanie królewskie.

—Doszły nas o tém wieści, odpowiedział Biskup, aleć mamy nadzieję go przebłagać, bo jeśli jest wina z naszéj strony, to jest wina i z drugiéj. Król Jegomość dał starostwo Lidzkie—

—Wiém wszystko, rzekł Kanclerz, ale jako nie chwalę postępku WM. którzyście inaczéj temu zapobiedz mogli; tak wymawiam Króla JMości, co się dał uwieść obsessiom Kniazia Glińskiego. Cóż teraz poczniecie?

—Co poczniemy? pochwycił Wojewoda Trocki porywając się z miejsca i ze stoła chwytając zwój pargaminowy, pójdziém z tém, pójdziem pytać Alexandra, gdzież są jego przysięgi a nasze prawa?

—A daléj? spytał Kanclerz.

—Daléj nie ustąpim aż go przekonamy, iż on sam był przyczyną wszystkiego, żeśmy my

nic nie winni. Myśmy nie pogwałcili prawa, ale ochronili go od pogwałcenia. Znamy Króla, dobry to pan ale zbyt łatwy, dziś go opanowali nieprzyjaciele nasi, jutro może się dać przekon...

— Więc WM. rzekł Kanclerz powolnie zawsze, nie wyobrażacie sobie do jakiego stopnia Król JM. zażalony, rozjątrzony jest na Litwę! Dajcie pokój wszystkiemu, myślcie tylko o sobie.

Spójrzeli na się Litwini i umilkli.

—Jak to, zawołał po chwili Kiszka, a cóż nam grozić może?

— Wszystko najgorsze — rzekł Kanclerz, ostrzegam WM. z tém tu przybyłem, abym braterską dał radę. Nim przyjdzie do tłumaczeń, pilnujcie WM. abyście cali z Brześcia do domów wrócili.

—My!! zawołało kilka głosów i wszyscy powstali poruszeni, tylko Biskup Tabor jeden siedział na pozór spokojny.

—Sumienie kazało mi was ostrzedz rzekł Kanclerz, jako braci, jako uczciwych stróżów całości praw i sumienia królewskiego. Wiecie WM. o wpływie Kniazia i o nieprzyjaźni jego dla siebie, nie domyślacie się jednak, do czego ta nieprzyjaźń doszła i jakie knowanie prze-

ciw wam się gotuje. Musiał tu być posłaniec królewski, który WM. oznajmił, iżbyście jutro zrana byli na Zamku.

— I gotowiśmy tam! rzekł Biskup i tam i wszędzie, ani się będziem bać oblicza królewskiego, bo się spodziewamy że nas wysłucha; a dość nam będzie aby tylko wysłuchać chciał.

Kanclerz wzruszył lekko ramionami i mówił dalej.

— Po czasie to wszystko moi panowie a bracia, myślcie powtarzam o sobie, jakobyście cali z Brześcia wyjechali. Wiecież co was jutro czeka na zamku?

— Więzienie może! odpowiedział Biskup —

— Co? więzienie! nas! zakrzyknął Zabrzeziński, nas! ważyliby się! —

— Gdybyż tylko więzienie — rzekł Kanclerz —

— Gorszego więc cóś! przerwał Ilinicz chwytając się za głowę, bo on się czuł najwinniejszym jako pierwsza przyczyna wszystkiego.

— Słuchajcie, mówił Kanclerz, ledwie wejdziecie, zamkną się drzwi za wami, uwięzieni, jutro będziecie sądzeni, sędzią waszym będzie Starosta Uciański Kniaź Michał, a na podwórcu czeka już rusztowanie, topory i kat!

Na te słowa nie podobna opisać, jaki rozruch powstał w komnacie, jak wszyscy nawet Biskup poruszyli się, jakie były krzyki, jakie oburzenie, jaki przestrach i zamięszanie. Każda twarz w inny sposób wyrażała uczucia przerażenia, oburzenia, strachu lub odwagi. Ilinicz zbladł i pochwycił się za stół; Zabrzeziński zczerwienił i porwał za szablę, Kiszka stał jak przebity, Biskupa usta drżały, oczy pałały ale nie ze strachu pewnie. Nigdy on się w życiu nie uląkł, a głęboka wiara dodawała mu niepojętéj odwagi, jakiéj nigdy nie widziałem w kim innym. Niewiém czyby był równie mężny w boju, ale tam gdzie starzy żołnierze pierzchali od oblicza zagniewanego, on naprzód występował, zawsze pewny zwycięztwa i zawsze zwycięzca.

Po chwili milczenia, taki się wszczął tumult i zamięszanie, taki gwar pomięszanych głosów, że nic w nich zrozumieć nie było można. Nareście uspokoili się nieco Senatorowie i zebrawszy u stoła, jęli radzić.

—Niema tu co radzić, rzekł po chwili Jan Łaski, gniewu królewskiego na teraz nie odwrócicie, myślcie tylko jakobyście głowy swoje

całe ztąd wynieśli. Na to zaś innéj rady niéma nad tę, abyście jutro na zamek nie szli.

Byli temu niektórzy przeciwni, a mianowicie Biskup, który pewien skutku swéj mowy, chciał pójść Króla odwodzić od przedsięwziętéj zemsty za przewodztwem Kniazia Michała. Tegoż zdania był śmiały do zbytku Zabrzeziński i Kiszka, którzy utrzymywali, iż być nie może, aby tak srogi a bezprzykładny sąd miał być na Senatory. Łacno jednak przekonał ich Kanclerz, że tu wojować mało się na co zdało, bo i nie z Królem słabym, ale z Kniaziem Michałem była wojna, a ten nie patrząc przyszłości na wszystko się ważył, byle zemście swéj dogodził.

— Idźcież zresztą WMość kiedy tego chcecie, rzekł Kanclerz, ale krew wasza nie na moją głowę spadnie, bom was jako poczciwość kazała, przestrzegł, a więcéj może uczyniłem przez miłość braterską, niżbym był powinien, i naraziłem siebie.

Tu dopiero jęli roztrząsać chłodno panowie Senatorowie rzecz jak była i uznali, że nazajutrz nie bezpieczna była iść im do Zamku, a dać się brać jako w połapce. W mieście

za się pilnując bezpieczeństwa swego porozstawiali liczne poczty i straże przy gospodach, dawszy też nie mało ludzi do klasztoru, którzy u furty jakby obozem legli. Kanclerz powrócił na zamek i nie widział już Króla, Kniaź Michał godziną wprzód odjechał na swe mieszkanie. Całą oną noc w mieście kędy Senatorowie gospody swe mieli trwał ruch niezmierny, porózpalano ognie w ulicach, rozstawiono ludzi, nikt oka nie zmrużył.

Jako świt, jeszcze mostu nie spuszczono, a już Gliński kręcił się koło zamku i przebywszy fossę po kładce, czynił przygotowania w tylném podwórcu na przyjęcie Panów Senatorów. Król też rano się zbudził i choć go niepokój gryzł, nic po sobie nie pokazywał. Wysłuchał bardzo jeszcze rano mszy świętej, którą prawił Xiądz Jan, poczém udał się do komnaty, kędy się wszyscy gromadzić mieli. A była już godzina po temu, nikogo jednak. Posłano dworzany po Panów Senatorów, ale wrócili z odpowiedzią niezrozumiałą. Czekał Król jeszcze, nadszedł Kniaź niespokojny też i tu nowa rada. Gdy upłynęła jeszcze nie spełna godzina, a Senatorowie nie przybywali, domyślił się Król i Kniaź,

że im ktoś doniósł, co ich czekało. Tu dopiéro srogi był gniew Kniazia, który mało nie oszalał, że mu się nie udało, jako był tak mądro ułożył, aby ich wszystkich w jedną matnię zająwszy, podusić. Rzucał się, jadł, klął, nie szanując nawet przytomnéj osoby królewskiéj, odgrażając się srodze a okropnie na Kanclerza, którego podejrzéwał, że o wszystkiém doniósł Senatorom.

W tém wszedł Kanclerz.

Rzucił się k niemu Kniaź, zapalony gniewém, czerwony, a Króla tą swoją zajadłością poduszczający z wymówkami.

— Toć to jest wierność Wasza, krzyknął, to to przywiązanie do Pana! Wy to, wy wydaliście i zgubili wszystko, wy Kanclerzu.

Jan Łaski jako był człek poważny, śmiały i postaci wielkiéj a ślachetnéj, tak się cofnął krok i zimno, odpowiedział.

— Zgadliście Kniaziu, jam oznajmił Senatorom Litewskim.

Gliński zamilkł, ale krew o mało mu oczyma nie trysnęła.

— I śmiecie to wyznawać? dodał obracając się do Króla.

— Dla czegoż nie! odpowiedział Kanclerz, postąpiłem wedle mojego przekonania, i nie wstydzę się tego com popełnił, bom to uczynił dla zachowania spokojności, uniknienia krwi rozlewu, którego by Król J. Mość sam potém żałował. Ocaliłem Senatorów Litewskich!

Alexander Król podbudzany, powstał też na Łaskiego z wymówkami, ale tu złączył się z Kanclerzem Jan z Oświecimia Spowiednik królewski i jęli go silnie hamować, a przedstawiać, jako Glińskiego uknuty spisek zrodzić mógł nieprzewidziane złe dla obu krajów.

— On, rzekł Kanclerz, wskazując Kniazia, słucha tylko poszeptów osobistéj zemsty, nie patrzy jutra, byle się dziś krwią nasycił, W. K. Mości przystało jako mądremu Panu i swój i jego gniéw pohamować, ponieważ tu Bogiem a prawdą, w początku sprawy słuszność mają PP. Senatorowie. Na te słowa Alexander się srożéj jeszcze oburzył.

— Wy to śmiécie mówić, zawołał, Panie Kanclerzu, wy nieposłuszeństwo zowiecie słusznością, ja ich będę przepraszał! Nie przybyli na zamek, znajdę ich gdzie indziéj, ale nie daruję! nie daruję!

Gliński napawał się temi słowy; Łaski potrząsał głową. Jan z Oświecimia zbliżył się do Króla.

— Nie mówię tu do W. K. Mości, rzekł, ani jako obrońca Senatorów, ani jako sędzia w téj sprawie, lecz tylko jako stróż sumienia W. K. Mości, jako Jego najbliższy doradźca. Każe mi mój stan i moje miejsce, przełożyć W. K. Mości, iż jeśli w kim, w Królach piękne jest miłosierdzie, a konieczną sprawiedliwość. Chłodno tę sprawę rozebrać, tych którzy nieprzyjaciół tam mają nie słuchać.

— A ty, zawołał Kniaź, ty tam masz przyjaciół i dla tego to prawisz.

— Nie dla przyjaciół, ale dla dopełnienia obowiązku mówię to, odpowiedział Xiądz pokornie, ty Kniaziu, ani tego pojmiesz nawet, pozwól mi mówić, tyś już dość Królowi doradzał.

Gliński nie zważał na to i przerwał.

— Nie przyszli do Zamku, zebrać polskie wojsko i zagnać ich tu gwałtem.

— Zwołać do mnie dowódzców, zawołał Król widocznie uderzony tą myślą.

Gliński ruszył się do drzwi, Kanclerz mu od nich zastąpił.

— Jeśli W. K. Mość trwasz w swojém postanowieniu, rzekł stanowczo, my wszyscy cośmy tu z Polski przybyli, rycerstwo i Senatorowie, nie chcemy być świadkami tak szkodliwego na przyszłość kroku, w téjże chwili zwołuję Polaków i odjeżdżamy do Krakowa.

— Co to jest? i wy? zawołał Król.

— Nie chcę i nie mogę być świadkiem tego, cóż dopiéro spólnikiem, byłoby to rozerwaniem Unij, zgubą dla obu krajów; jeśli się rycerstwo polskie ruszy krokiem, stu lat może mało będzie, aby ten krok zamazać. Słowo tylko N. Panie, a ja w téjże chwili wracam do Krakowa.

Na te słowa wymówione stanowczo i śmiało, Król się widocznie zachwiał i zaląkł. Cała moc jego była w orszaku licznym polskiéj młodzieży, Litwy cokolwiek było, ta podejrzana, że sprzyjała partij biskupiéj.

— Więc, rzekł Król powolniéj, nie będę mógł nawet winnych nieposłuszeństwa ukarać?

— Ktoż by śmiał prawa do tego W. K. Mości zaprzeczyć? podchwycił Kanclerz, znajdziesz W. K. Mość winnymi niektórych, ukarz ich słusznie, aleć nie jak doradza Kniaź, aby wszyst-

kich jednego dnia oddać katowi, wcześnie rusztowanie postawiwszy i nagotowawszy im śmierć.

Na te słowa, gdy Król chwiać się poczynał, Gliński wybiegł zbladłszy okropnie z komnaty, a zwycięztwo zostało przy Kanclerzu. Łatwo potém do reszty Króla przejednali Łaski i Xiądz Jan; niepodobna już za się tylko było wymódz, aby całe przebaczył. Zszedł dzień na radach i odradzaniach, Panowie Senatorowie zgromadzeni razem w mieście czekali co wypadnie, tymczasem Gliński znowu poskoczył do Króla, aby choć największym swym nieprzyjaciołom zgotował zemstę. I dokazał swego, bo w parę dni potém, Ilinicza pochwycono w ulicy i dano do więzienia, w którém długo jęczał, a Zabrzezińskiemu Król odebrał zaraz Województwo Trockie i oddał je Podczaszemu swemu Nadwornemu, Namiestnikowi Bielskiemu Mikołajowi Mikołajowiczowi Radziwiłłowi. Panom Senatorom zaś reszcie wcale nie przebaczywszy, zakazał się na oczy pokazywać. Rozjechali się tedy, a ztąd wielu sobie narobił po całéj Litwie nieprzyjaciół Gliński, który jednak mało o to dbał, bo był bardzo sam sobą i związkami swemi silny.

Owoż piérwsza tego Sejmu historja, któréj się później koniec opowie, bo daleko się jéj ogon pociągnął; a była i druga całe inna już z Carzykiem Tatar Zawołhskich Szachiem Achmetem, który był przyzwany jako sprzymierzeniec przeciw Tatarom Perekopskim, co się byli na naś zajedli, aliści opuszczony bez posiłków i prawie na mięsne jatki wydany, pobity na głowę, utracił wszystko, a gdy do sprzymierzeńców swych udał się, to go jeszcze uwięziono. I siedział był w Wilnie pod strażą; a tu go na on Sejm do Brześcia przywieść kazano dosyć przystojnie. Sam Król cześć mu znaczną wyrządził, bo gdy się o nim dowiedział, spotykał go w pięci milach za miastem z wielkim pocztem panów koronnych i dworzan swych. Byłem tam i ja, w nowiusieńkiéj sukni, szachowanéj żółto a czarno, w czapce ze dzwonki uszatéj, a kijmi, ze dworem swym téż, to jest dwóma karły, którzy mi po kolana tylko dochodzili. Mówiłem ja Królowi.

— Daj ci Panie, takich jak mnie Panów Radnych, a łatwo się ich dawszy szczutka w nos pozbędziesz; na co ci takie barczyste chłopy!

Król śmiał się z żartu.

Owoż wracam jakeśmy wyjechali przeciwko Achmeta, w pole, kędy przygotowano sukna bardzo wiele, którym wysłano drogę i od tego miejsca, zkąd zsiadłszy z konia, Tatarzyn miał iść pieszo witać Króla J. Mości. Dla Króla rozbito namiot wielki niebieski w gwiazdy złociste; do koła którego konie i ludzie tabor nie mały a świetny formowali, bo tu Król J. Mość szukał tylko okazij, dogodzenia sobie, a popisania się z przepychem i wspaniałością.

Przybył i Achmet w niewielkim Tatar pocztcie, przyjął go Król u namiotu, poprowadził wewnątrz i co się wielu dziwną zdało, po prawéj ręce posadził. To jednak wszystko nie pohamowało dzikiego Tatarzyna, który chciał zaraz wymówki czynić Królowi, bo mu srodze na sercu ciężył jego zupełny upadek, gdyż był i żonę postradał, która mu czasu onéj wojny, do drugiego Carzyka uciekła. Ale mu przez tłumacza powiedziano, aby się z tém strzymał, że nie miejsce po temu było, a będzie mógł żale swe przełożyć na Sejmie. Zamilkł więc, nie bez widocznego gniewu. Król za się jako sobie z tego istną zabawkę czynił, tak tuż zaraz

w onym namiocie, jął passować na rycerzy ze zwykłemi obrzędami, tak że nawet kilku onych grubych a dzikich Tatar, którzy spełna nie rozumieli o co szło, rycerzami uczynił. Patrzali się oni na to, jak na niepojęte jakieś ceremonje, ale dawali z sobą czynić co chciano, bo pamiętali iż byli w niewoléj. Gdy przychodziło klękać przed Królem, który mieczem uderzał, nie pojmowali Tatary, jaką to im cześć wyrządzano, jął się był nawet jeden Murza do noża, ale mu go w czas wydarto i uprowadzono go. A tak gdy się Król nacieszył oną istną zabaweczką jechał razem z Achmetem do Brześcia, gdzie nowe bankiety mu sprawiał, których końca tylko niecierpliwie Carzyk wyglądał, aby mógł ze skargą na swoje nieszczęścia wystąpić. Odwiedziono go jakoż od tego obiecując czas po temu w Radomiu na spólnym obu narodów Sejmie, dokąd i Król udać się miał i onego Tatarzyna ciągnął za sobą, jak istnego prawie błazna. Dla czegom rzekł Królowi na on czas w Brześciu.

— Czemu mnie N. Panie nie odprawisz? A on — Dla czego?

— Boć lepszego masz błazna, który ci się

z za Wołgi, porzuciwszy państwo swe i skarby i żony, przybłąkał.

Król śmiał się z tego i dał mi pieniądz złoty, nic nie odpowiedziawszy. Zwoławszy on Sejm do Radomia na Wszystkich Świętych, Król odjechał z Brześcia, a Carzyka odwiedziono było pod strażą do Nowego Miasta w Mazowszu, pókiby się Sejm począł.

I toć też był zjazd nie mały a ważny, on Radomski, gdziem był wszystkiego świadkiem, bo nań z dworem królewskim przybyłem, a błazeńskiéj sukni winienem com się wszystkiemu przypatrzył, bom za Królem był wszędy i na stopniach tronu jego zawżdy miejsce moje było, z dwóma karły, którzy niby dwór Stańczykowy składali. Tu się owo ponowiły jeszcze z Pany Senatorami Litewskimi w Brześciu i wprzódy poczęte historje, których Król pono życiem przypłacił, jako się niżéj wszystkiego dowiesz, byleś cierpliwie czytał.

Naprzód tedy rozpowiem jako tu sprowadzono Achmeta, który w wielkim poczcie, a z wielkim żalem przybył wyrzucać na oczy Polakom i Litwie, jako go zgubili. Zaledwie go przypuszczono, kędy się wszyscy na słuchanie jego

zebrali, jął swoim językiem piskliwie wykrzykiwać, którą mowę jego jakiś biédota Rusin tłumaczył. A była jeśli pomnę taka.

— Wezwaliście mnie, mówił, z daleka w pomoc sobie, zawiedliście, jednego porzucili i na mięsne jatki wydali, od Carzyka Perekopskiego porażony, utraciłem skarby, wojsko, panowanie, a gdym do was jako do przyjaciół i sprzymierzeńców uciekł, toście bezwstydnie jako więźnia pod strażą osadzili, jak pojmańca w ciemnicę zamknęli. Bóg, zawołał podnosząc ręce do góry, który za dobre i złe płaci, mnie i Króla waszego, gdy przed nim oba staniem, rozsądzi, nędzy mojéj, strat a waszych pogwałconych przysiąg się pomści. Alexandra zaś który słowa swego nie dotrzymał a one złamał haniebnie ukarze. Czegoż mnie trzymacie, dodał, co wam zawiniłem? puszczajcie mnie do swoich, jakiém prawem zatrzymujecie mnie tu jeszcze?

Tak prawie skończył, a tu mu któryś z Senatorów polskich odpowiedział: Iż ani na Boga, ani na Króla skarżyć się niéma w tém swojém nieszczęściu tylko sam na siebie, bo sam przyrzeczeń swych nie strzymał i nie jako sprzymie-

rzenice się zachował. Albowiem gdyś u Kijowa leżał, wojska twoje w kraju naszym szkód nie mało poczyniły, prosili cię Kijewscy mieszczanie i skazywano ci od nas, abyś pod Starodub ciągnął, aleś tego uczynić nie chciał, tam ci wzdy i bezpieczniéj było od Mendli Giereja, który na gardło ci stał; uparłeś się za się stać i niszczyć Kijewskie włości, a teraz masz jakoś sobie posłał. Wiémy i to, żeś się do Turek był bez naszéj wiedzy zwrócił, za czém, nie wiadomo, aleć pewno nie na dobro nasze.

Po onéj odpowiedzi, którą mu ów Rusin przełożył, spuścił nosa Achmet, obaczywszy iż pono tu jeszcze sam winny się ukaże, co innym winy dowodził. Zaczém już pokorniéj począł, prosząc aby mu dozwolono było posłać brata jego do onych Nohajskich Tatar, wzywając ich ku pomocy, i zaklinając Króla, aby mu też ku odzyskaniu utraconego państwa, w ludziach dał pomoc.

Odpowiedziano od Króla, iż starać się oto będzie, byle ludzi dosyć zebrał, a było na on czas w sejmowéj izbie siła dworzan królewskich, duchownych, pacholąt i różnego ludu. Na których zaraz wskazując palcem on Tatarzyn rzekł.

— A tychże na co karmicie, jeśli do wojny są niezdatni?

Tu mu jęli tłumaczyć, jako u nas nie Orda, ano jedni do wojny, drudzy za się do roléj, inni do służby Bożéj, inni do rzemiósł, przeznaczeni, inni do opatrywania zamków i spraw sądowych. Wzruszył ramiony Tatarzyn i powtórzył znowu prośbę, aby mu brata wysłać dozwolono, czego nie zdało się chudzinie biédnemu odmówić, a on pewien iż Tatarowie wszyscy się doń nawrócą, skoro czapkę jego tylko ujrzą, był już dobréj myśli i tuszył sobie najlepiéj.

Były na on czas nie małe burdy w Polsce od Szlachty, która się była jako to i dawniéj się zdarzało, na rozboje rzuciła i po drogach imając podróżne odziérała. A co najdziwniéjsza iż między onymi szalonymi nalazła się zbojczyni kobiéta, jako tego pono przykładu jeszcze nie bywało. Siła o niéj prawili, jako dokazowała bardzo odważnie, jako kilka razy pojmana, wymknąć się potrafiła, nareście ją wzięto i jak była w skorzniach, z ostrogami a z mieczem, tak ją obieszono zwała się ona Herod baba Rusinowską, a była młoda i niczego, powiadali drudzy, że się tak

rozmiłowawszy w jakimś obwiesiu za nim w te życie puściła, a niewiadomo było, czyli nie w jednym z onych których onemi czasy za rozbójstwo ścięto, Osuchowskim albo Mysowskim. Ale dość o tém. Były i inne jeszcze sprawy na Sejmie rozbiérane, których tu spominać nie będę, bo je pewnie oni kronikarze, co suche liście zbiérają, zapiszą do słowa, a tam o nich dostatecznie najdziesz.

Powracam do onego, o którémeśmy mówili zajątrzenia Alexandrowego na Panów Litewskich, za poduszczeniem Kniazia Michajła, srogiego ich nieprzyjaciela. Owoż chociaż się był Król zaklął, aby mu na oczy nie stawali, przybyli niektórzy do Radomia, a mianowicie nieustraszony Biskup Wileński Tabor, który się zabiérał Królowi w oczy prawdę mówić, co mu nie wszyscy zgoła chwalili. Inni za się szukali wstawienia się i wdania za sobą Panów Senatorów Polskich, aby Król dał się przebłagać i na oczy ich przypuścił, a gniew swój niesłuszny darował im. Z czém też szli do Kanclerza Łaskiego i innych, a ci im przyrzekli. Jakoż napadli Króla chcąc go przejednać, wystawując jako to wszystkiego przy-

czyną był Kniaź Michał i jak on dla osobistéj zemsty tylko, na Senatorów Litewskich jątrzył.

Ofuknął się z początku Alexander na tę mowę, zakrzyczawszy iż nigdy nieposłuszeństwa nie przebaczy a na oczy ich widzieć nie chce, lecz gdy Łaski roztropnie a dowodnie jął wszystko wywodzić, pohamował się w gniewie, bo był dobrego serca pan i już nie tak srodze zdał się zagniewany. A gdy tuż słowa królewskiego domagano się, chcąc im się wymówić, począł odkładać rozpatrzenie sprawy a przebaczenie, na przybycie swoje do Litwy.

Działo się to na wejściu do izby, kędy Panowie Senatorowie byli zgromadzeni, a przed Królem właśnie drzwi otwarli komornicy. Aliści cofnął się Alexander ujrzawszy mimo zakazu, siedzącego w Senacie na swojém miejscu, sędziwego Biskupa Tabora. A gdy Król się wahał, jął go znowu umawiać Kanclerz Łaski iż wszedł, z oczyma srogiemi na Biskupa zwróconemi. Ale Biskup tém się bynajmniéj nie zmięszał, a odwagi nie stracił, bo gdy Król ku niemu się zwrócił, powstał i pokłon uczyniwszy, chciał mówić. Posłał do niego Król komorniki swe, aby z izby wyszedł.

—Miejsce tu jest moje, rzekł Biskup i na marach mnie z tąd chyba wyniosą, zaczém ogromnym głosem do Króla zawołał.

—Miłościwy Królu, niewinnie gniéw twój był na nas, za przyczyną i poduszczeniem złych ludzi, bośmy naprzeciw tobie, panu naszemu nie stali, ani się tobie przeciwiali, aleśmy bronili całości praw i przywilejów naszych, żebyśmy przy nich zostali. Ja zaś, jako litewskiego państwa, i twój jako Wielkiego Xiędza, a pana naszego pasterz, powinienem był i ciebie pana swego od tego odwodzić, abyś prawa nasze, listy swoje i przysięgę nam w całości zachował.

Tu Biskup podniósł głos jeszcze.

—A jeśliby chciał kto je łamać, zawołał, niech go Bóg ukarze!

Tylko co to wyrzekł, ujrzeliśmy jako twarz królewska srodze pobladła, jako się kłonić zaczął, pochylił i na ręce sług swoich upadł.

Niepodobna opisać jaki się tam stał rozruch w téj chwili, jaki przestrach, zwołano doktory, Król nagle paraliżem był rażony. Senatorowie wysuwali się przerażeni z izby, inni biegli do Króla, inni po lekarzy, inni gotowali się prze-

nieść Alexandra do jego komnat. Biskup Tabor nie zdziwiony, ani pomięszany, powolnym krokiem, poważnie, śród rozstępującego się przed nim tłumu, wyszedł także z izby.

Było nie mało takich, co go już świętym być mienili, a wszyscy srodze tym wypadkiem przerażeni zdawali się. Radzili niektórzy Biskupowi, aby się co prędzéj oddalił, unikając zemsty królewskiéj, ale on odpowiadał.

— Co się ma stać, niech będzie, bez woli Bożéj, włos z głowy nie upadnie.

Jakoż i nic mu się nie stało.

Król za się już daléj dla niemocy, nic poczynać nie mogąc, paraliżem ruszony a chory ruszył się z nami do Krakowa. Przyszło jednak od strachu pomiarkowanie, bo jakoś łaskawszy na Litwę, oddał im Król Achmeta onego, aby go pod strażą do Trok wiedli

Następnego roku, gdy jakoś Król za lekar-
1506. stwy lepiéj się mieć poczyna, objęły go, jako kara boża różne strapienia. A naprzód iż zacna Pani Elżbieta, matka królewska umarła, którąśmy chowali w Krakowie. Na Litwę zaś wielkiemi siłami jęli się walić Tatarowie, jako chmury albo szarańcza sprośna.

Onego zaś Achmeta w początku trzymano było przystojnie na Litwie w Trokach, gdzie też i murzowie jego po leżach rozdzieleni, a prawie swobodni byli, gdyż się był ślubował czekać przybycia królewskiego, ale słowa nie strzymał. Bo przybyli tam jacyś od Nogajskich Tatar posłowie do niego w dość licznym poczcie, z którymi miewał swobodne rozmowy, toż i na łowy z psami jeździli, a uganiali za źwierzem często, wracając przecie nazad, tak iż podejrzenia żadnego nie było. Aliści razu jednego jak się wszyscy zebrali Tatarowie jęli uciekać z Achmetem. Obaczył się w porę Olechno Monwidowicz Namiestnik Trocki, a dobrawszy dworzan królewskich puścił się w pogoń za Tatary, których dognał aż u Kijowa, powiązał, nazad odprowadził i pod srogą strażą osadził.

Achmet prawie z onego wstydu i gniewu zębami sznury swoje gryzł, a głową o mur tłukł, srodze swoich strażników łając, którzy mogli słuchać bezpiecznie, bo nie rozumieli co prawił, a byle chcieli, za błogosławieństwo to rozumieć sobie wolno im było. Jak się ono o tém Mendli Gerej Perekopski dowiedział przysłał posły swe do Litwy prosząc, aby nieprzyjaciela jego

pilnie strzeżono, za co on wdzięczność obiecował, a przymierze i pomoc na razie. Uwierzono mu było, chocia Achmet, srogim głosem wołał na ówczas: Pokarze was Bóg, nim samym, a prędko go tu zobaczycie. Co się i stało, bo następnego roku, jakom rzekł, zaleli okrutnie Tatarowie Litwę. Było ich tam kilka Carzyków, wszystko Mendli Gerejowi powinowaci, z jego ręki wysłani. Ci w dzień Wniebowzięcia przyszli pod Słuck, kędy się była zamknęła Xiężna Anastazja z synkiem Jurgim Siemionowiczem. Dwór jéj był cale pański a liczny, a zamek mocny dosyć, przetoż próżno Tatarowie ogień podkładali i szturmowali zajadle, gdzie ich wiele poległo bardzo. Jako tylko sroższe było niebezpieczeństwo, to Xiężna wychodziła do Slachty a bojarów swych z dziecięciem na ręku we wdowich szatach i czépcu, a stając w podwórcu, zaklinała ich, aby nie jéj białogłowy, ale dziedzica jedynego wielkiego rodu, bronili jako mogli. A tém dodawała serca, że się mężnie obraniali, gromiąc Tatar przeważnie. Drudzy też poszli pod Mińsko i tu ległszy taborem, puścili się na wszystkie strony plundrować pod Wilno w Zawilejską stronę, pod Połock, Wi-

tebsk i Owrucz na całą prawie Litwę. Słyszeli byli Tatarzy o panach litewskich w Nowogródku, iż liczne ich tam było zgromadzenie, bo się tu naradzali wszyscy, jako Króla w gniewie jego przebłagać; ale skoro posłyszeli o Tatarach umknęli za Niemen, Tatarzy za niemi srogie spustoszenie czyniąc, potém za się wrócili pod Nowogródek, którego nie dobyli bo był tam Wojewodą Albrycht Gastold z Maskiewiczem Horodniczym, Tryzną, Niemirą i innymi którzy ich wycieczkami trapiąc, nic sobie nie dali uczynić. Ale tu już otym dosyć, bo się tego naczytasz szeroko po kronikach.

My za się z Królem w Krakowie byli, kiedy się to działo, a Alexander ciągle był niemocen jeszcze, tak że też i chorego przywieźliśmy do Wilna, kędy znowu leżał, a na one Tatary ciągle plondrujące Litwę, rady dać nie mógł.

Gdyśmy przybyli do Wilna, kędy ono przebłaganie z pany litewskimi, wedle obietnicy Radomskiéj być miało; zastaliśmy je puste i przelękłe. Nakazano murami miasto obwodzić, które dotąd rozsypane między góry bez obrony leżało, tylko nad niém zamek górny stérczał prawie nie dobyty, kędy była zbrojown a Ale-

xandrowa, a mieszkanie nasze w Krzywym Grodzie, pod Zamkową górą. Tu większą część zamku zajmowała Królowa Helena z ruskim swoim dworem, bo miała swych diaków i kucharzy i służebne wszystko z Moskwy. Dwór za się królewski szczupły był, albowiem mimo obietnicy przejednania, lękając się Kniazia Michajła, który przy boku królewskim nieustannie jako Marszałek zostawał, a na swych nieprzyjaciół Króla jątrzył, nikt ku nam nie przybywał. Biskup tylko, jako zawsze wielkiéj myśli, przyjąwszy Króla w Wilnie, którego Alexander uważać i szanować począł, jął się krzątać około murów miejskich, jakby i mieszkańce i kościoły pańskie od zniszczenia ochronił. Za jego przewodstwem, szło ono przedsięwzięcie prędko. Nie pomnę, aby kiedy tak pusto było na dworze królewskim, jako tego czasu, bo kromie Kniazia Michajła, Kanclerza Łaskiego i kilku innych z Polski, z Litwy nikogo nie było. Jednych bojaźń królewskiego gniewu, drugich nieprzyjaźnie i swary z Kniaziem, innych one Tatarskie napady oddaliły. Postrzegł się też i Król, że serce stracili do niego, a choć nic nie mówił, srodze go to bolało i

chorzał coraz gorzéj a gorzéj, gryząc się Tatary i swojemi Senatory. Już Kniaź Michajło wyprawiał swoje sztuki, okazując wielką dla Króla serdeczność a politowanie; toż nawodząc na oczy obojętność innych Panów Litewskich, jako go byli wszyscy opuścili. Król słaby to już całém sercem przylgnął do Kniazia, a coraz bardziéj mu wierzył. Spodobało się tedy Glińskiemu narzekać na lekarze królewskie, jako go źle leczyli; na co że cierpiał Alexander, łatwie przyzwalał. A z tego poszło iż Kniaź jakiegoś tam matacza jął podsadzać i zalecać.

Cała to znowuż historja z onym lekarzem królewskim, z którym pono Kniaź był w zmowie. Bo wszyscy powiadali jako Gliński czyhał tylko a czatował jakby pochwycił Wielkie Xięztwo po śmierci Alexandrowéj, przy Tatarskim najeździe i pomocy Ruskich swoich. Pora się nadawała, a tu Król chocia słaby żył jeszcze, czego Kniaziowi nie trzeba było. Takim tedy fortelem, chciał go z świata zgładzić. Jął, jakeśmy rzekli Króla umawiać, aby po lékarza lepszego posłał, który się zwał Baliński, a mieszkał aż pod Ilkuszem, kędy się był ożenił z Balińską szlachcianką, bo wprzód się Grekiem po-

no Laskarysem zwał. Tam też w Balinie założył był on matacz rezydencją, a chłopstwo się do niego tłumami cisnęło i po budach mieszkając zdrowia od niego czekało, które on leki dziwnemi i czary rozdawał, każąc sobie dobrze za wszystko płacić. Sława jego tak się już była rozeszła, że prawie odebrał chleb innym lekarzom krakowskim, którzy mu diabła życzyli, bo go i do bogatszych wozili, do których inaczéj nie pojechał, aż mu wprzód sto złotych czerwonych na rękę wyliczono, zkąd go Setnikiem przez posmiewisko zwano.

Jak jął Kniaź Michajło cuda o nim prawić, tak też Króla opętał, że co prędzéj wysłać za nim rozkazał. Pojechał dworzanin królewski a serdeczny Kniazia, który też od niego tajemne pismo do Balińskiego zawiózł, a co w niém było, choć się domyślali, nikt przecie nie wie. On dworzanin, gdy do Balina przybył, zastał doktora otoczonego ludem wielkim, który mu naprzód przeczytawszy list a pobladłszy wielce, odpowiedział, że nie pojedzie, bo ma co czynić doma, a u Króla lekarzy wiele bydź musi. Na co on dworzanin odpowiedział, że jeden tylko lekarz królewski z Błonia się najdował,

a ktemu Kniaź Michajło usilnie prosił, aby koniecznie przybył. Jął się tedy Baliński tak i owak wykręcać, aż w końcu zapowiedział, że inaczéj nie ruszy, chyba mu trzysta złotych czerwonych wyliczą. Spodziewano się już tego i on dworzanin miał z sobą pieniądze, a widząc upor jego, dał mu one żądane, poczém jął się już wybierać Baliński, chorych swoich Panu Bogu poleciwszy. Jechali tedy do Krakowa, gdzie bojąc się przenagabania od lekarzy tamtejszych w miasto nie wjechał Baliński, tylko czekał, aż królewską aptekę nadwieźli. A ztąd jechali prosto do Wilna.

Było to jakoś w Lipcu i srogie gorąco pamiętam panowało, gdy jednego wieczora on wóz z apteką królewską i dworzanin z cudownym lekarzem przybyli. Zaraz tedy jął go pod rękę Kniaź Michajło, i nie do Króla, ale w osobną komnatę zamkową powiódł.

W kilka lat potém, opowiadał mi komornik jeden królewskiego dworu iż był rozmowy podsłuchał trochę z ciekawości, ale spełna nie zrozumiał. Słyszał on jak w samym początku o pismo swoje dopominał się Gliński, które odebrawszy spalił tuż w kominie. Potém szeptali

z sobą więcéj pół godziny, a lekarz miał minę jakby się czegoś wielce strachał, Kniaź za się dodawał mu odwagi. Nic to innego pewnie tylko go namawiał, na zbrodnię, aby Króla umyślnie lecząc zle, na drugi świat odprawił.

Cały dwór królewski źle wrożył z tego lekarza, ale cóż kiedy Kniaź takie miał zachowanie iż mało kto do Króla zbliżyć się mógł bez jego wiedzy, a nikt nie śmiał i słowa przeciw Marszałkowi powiedzieć; bo by tyle jego było.

Po onéj tajemnéj w komnacie rozmowie wwiedziono Balińskiego, gdzie Król chory leżał, który popatrzywszy trochę a ręki wziąwszy i nóg, dobréj myśli dodawać zaczął, mówiąc, iż jego lekarstwa dadzą temu rady i JMości na nogach postawią. Zaczém mocno prosił, aby sam tylko leczył, a lekarza mu nie dodawano, bo się jakoby lękał, aby mu z zazdrości nie popsuto. Na co Król JM. przyzwolił, chociaż Kanclerz Łaski, widząc że się tu na niedobre kroi, bardzo temu był przeciwny.

Tegoż dnia jął zaraz Baliński leki przyprawiać, jakby łaźnią dla Króla, a posyłał za różnemi zioły w lasy pod Werki i na Antokol, któ-

rych pękami nanieśli. Toż komnatę osobną obrał, w któréj istną łaźnią uczynił. Była bo w zamku nie jedna, ale dwie łaźnie a jedna nadewszystko chędoga i kamieniem wykładana, którą był jeszcze Witułt rozkazał uczynić dla swéj wygody, bo lubił łaźni zażywać, ale w téj Baliński Króla parzyć nie chciał i miał na oko słuszność, bo do niéj idąc od pokoi królewskich trzeba było podwórzec przebywać, co by choremu nie pomogło pewnie. Zrobiono tedy łaźnię w iźbie bliskiéj królewskiéj sypialni. Nazajutrz gdy one zioła jakieś, których nikomu patrzeć niedał matacz, ponakładał w różne kotliki a garnce, a z nich para srogiéj mocy buchać zaczęła, zwleczono Króla przy Kniaziu Michale z łoża i na ręku komornicy przenieśli do onéj łaźni, w któréj i zdrowemu wydzierżeć było trudno, cóż Królowi choremu? Jak skoro Króla duchy owe owionęły, tak zaraz mdleć począł i wołać aby go precz niesiono, nie zważał jednak lekarz i trzymać kazał nagiego nad parą, aby się pocił, a dla otrzeźwienia różne mocne wina lał w usta, małmaźją i korzenne. Byłem ci ja tam kiedy oni srodzy katowie, pana swego niemiłosiernie męczyli. Jęczał Król bo się mimo

okrutnego gorąca, pocić nie mógł, a wołał że się żywcem spali, bo mu już wyziewy wnętrzności piekły. Kniaź Michał wszystko Króla cieszył, iż to zdrowie miało przywrócić, ale blady był i drżący jako zbój gdy go na szubienicę wiodą. Kanclerz też Łaski stał u drzwi milczący, a kiedy Król znowu począł wołać, aby go precz nieśli, jął przekładać, aby na piérwszy raz próby téj dość było. I coś poszepnął był Kniaź Michajło Balińskiemu, który Króla odnieść i w cieple ukryć a Małmazją poić rozkazał. A potém tegoż dnia na oczy swe widziałem, jako gdy Alexander usnął nieco lepiéj zrazu się czując, chodził Kniaź poszeptując tajemnie z lekarzem i snuli się tak po zamkowym moście, potém znów po drugiém podwórcu, czas długi, żywo rozmawiając. Królowa też Helena od łoża małżonka swego nie odstępowała, a łzami się zalewała widząc go tak bardzo chorym. I baczę, nie tyle może po małżonku miłym, którego mało znała, płakała, jako raczéj nad sobą, bo doświadczyła nienawiści ku sobie panów litewskich i ciężki los, który ją czekał wdową, przewidywała łatwie.

Na drugi dzień, taż sama łaźnia ale mo-

nciejsza jeszcze, a winem co najwytrawniejszém pojono go, od czego z sił zaraz opadł i mieć się gorzéj a gorzéj widocznie począł. Na trzeci dzień, jeszcze toż samo, aż ci omdlonego wcale Króla wyniesiono. Widząc go zdala (bo do osoby nie przypuszczano z woli Kniazia) a słysząc owszem lekarz królewski srodze się trapił i pobiegł do Kanclerza zalecając, aby chcąli mieć Króla przy życiu, onego matacza a zdrajcę precz odpędzili. Poszedł z reflexją Kanclerz do Kniazia, przedstawując że na zgubę to oczewistą Baliński czyni, aby mu daléj leczyć nie dopuszczono, ale Kniaź jak był dumny i gwałtowny, tak się wielce rozjadł na Pana Kanclerza.

—Ja tu go przywiodłem, zawołał, ja za niego i za zdrowie pańskie gardłem odpowiadam.

—Baczysz że sam WM. że Król co dzień to gorzéj od tych leków.

—Nie nam o tém sądzić, przez co do zdrowia, lekarz ten doprowadzi K. J. Mość, a ja wiem że bieglejszy jest od waszych wszystkich i sławę ma wielką.

Jeszcze się tam spierali z godzinę, ale Kan

clerz czekając co dalej będzie, ustąpił. Aż tu nazajutrz nowa łaźnia, a gorsze jeszcze omdlenia, i całkowite opadnienie z sił, tak widoczne, żeby je był ostatni głupiec poznał, iż do zdrowia prowadzić nie mogło. Biegł tedy znowu lekarz królewski, do Kanclerza, prosząc i zaklinając, aby Króla od pewnéj śmierci ratowano. A tu już Kanclerz sam oczyma swemi ujrzawszy jak było, nie pytając więcéj Kniazia, tamże do łaźni swoich Polaków dworzan królewskich wprowadziwszy, Balińskiego wziąść i związać rozkazał, a Króla na łoże odnieść i lekarzowi zwyczajnemu polecił.

Kiedy go imać miano, zaląkł się Baliński i pobladł, a bełkotać niezrozumiale zaczął.

— Bierzcież WM. nie mnie jednego—

Na te słowa wpadł rozjuszony Kniaź Michajło, i Baliński umilkł, a on ujrzawszy go powrozy związanego, zawołał poskakując do Kanclerza

— Co to jest?

—Wiążę zdrajcę, odpowiedział mu Kanclerz, ponieważ widno jak na dłoni, że z czyjéjś namowy, Króla zabić chciał swemi lekarstwy

z umysłu to czyniąc; dójdziemy z niego na pytkach kto mu to doradził.

Gliński pobladł i posiniał cały.

— Brońcie mnie Kniaziu! wołał do niego Baliński.

— WM. ozwał się Gliński do Kanclerza, WM. nie macie dowodów, słuchacie tylko nieprzyjacielskich poszeptów, którzy i mnie wplątać w to chcą.

—Niewiém, to pewno, rzekł spokojnie Kanclerz, że wy Kniaziu ręczyliście przede mną głową za tego zdrajcę, i żeście go sami tu sprowadzili.

To mówiąc Łaski rozkazał go wieść do zamkowéj turmy, a Gliński wyjęknąwszy słów kilka, pobiegł do Króla i Królowéj.

Król leżał bardzo osłabiony, Kniaź padł na kolana u łóżka i płakał całując rękę królewską; ale nic nie śmiał mówić, choć kilkakroć poczynał. Snać mu języka onego tak wyprawnego, na ten raz w gębie nie stało; a potem był tam lekarz królewski z Błonia, przed którym może na Kanclerza żalić się nie chciał,

Jakoś z pomocą nową, Alexander przyszedł

nieco do siebie, została mu wszakże taka niemoc, iż ruszyć się o swéj sile nie mógł.

Kanclerz za się odtąd nieodstępny był od łoża dniem i nocą, dawszy rozkazanie swoim, aby dobrze Balińskiego strzegli. Turma zamkowa była jakoś u wrót ku mostowi, kędy go osadzono w izbie na dole z jednėm oknėm kratą umocnionėm od podwórca, a drugiėm wysoko nad fossą deskami zabitėm. Tu on matacz srodze lamentował o sobie, a palce sobie był mówili pogryzł ze złości, przeklinając siebie i Glińskiego który go pismem swėm sprowadził. Nie było tedy co czynić, tom się i ja tam z innymi przechadzał, przypatrując się temu z wielkich łask zakutemu teraz mataczowi, co mu się chłopcy uliczni, stosem smolnym przegrażając wykrzywiali. Blady był aż zielony, a rwał się w téj ciupie tam i sam jak opętany. Chwilami znowu leżał i płakał jak dziecko. Mówiono, że na zmierzchu tego dnia, Kniaź Michajło chodził do niego, a z razu straż go polska puścić nie chciała, ale potém Kanclerza rozkazanie było, aby Kniaziowi wolny przystęp dano. I z kuchni też Glińskiego, z jego dworu nosili jadło więźniowi; a powiadali że jak ono

pogadał z Glińskim tak się zaraz uspokoił i nabrał serca wielkiego, a pił tylko niezmiernie i całą noc szumiał po izbie.

Ale co jadło to wprzódy słudze dawał probować, bojąc się snać, aby go nie struto. Był jeszcze Kniaź Michajło u niego ze dwa razy; chciał Kanclerz zaraz wziąść na pytki matacza, ale nie po temu był czas, bo Król coraz gorzéj chorował. Tym czasem, cóś we dwa czy trzy dnie od uwięzienia onego, jednego poranka przybiegli z oznajmieniem że uciekł. Kanclerz spójrzał na przytomnego Kniazia a ten ani słowa nie rzekł, ani na prawo ani na lewo. To jednak pewna, że nie kto tylko Gliński, pomógł mu wybrać się z ciasnego kąta, w którem go sam namową wprowadził, bo by był bez pomocy nigdy z tak mocnéj turmy nie uszedł. A jakośmy potém oglądali na miejscu, że przepiłował tarcice od fossy, okno wyłomał i po powrozie z węzły się spuścił, kędy mu czółen podać musiano, bo by był inaczéj nie wybrnął. Tak tedy pojechał szczęśliwie i wysłani w pogoń nie nadybali go nigdzie, aż się dobrze późniéj pokazał koło Krakowa w zwierzyńcu, kędy z żoną mieszkał. I imano go powtóre,

ale drapnął jeszcze, mając zawsze plecy za sobą. A z Wilna jako później wiedziano, przez Prussy się posunął cichaczem w swoje strony.

Gdy Król tak leży na poły umarły a tu już i szczére leki nic a nic nie pomagają, że prawie tylko końca wyglądamy, bo było posłano nawet po brata królewskiego Zygmunta Xiążę Opawskie i Głogowskie, aby rychło przybywał; aż tu jak na toż srogie wieści idą o Tatarach, jako plądrują, a koło Nowogródka zagony czynią i lud biédny w niewolę pędzą, paląc, niszcząc, wycinając, rabując swoim pogańskim obyczajem.

Król słaby rozesłał po panach litewskich, aby się do pospolitéj obrony zbierali; ale nikt na to ani pisnął, ani się ruszył, ani głosu królewskiego usłuchał, byli tacy co mówili—

—Jako sobie Glińskiego ulubował, niechaj Gliński ratuje.

Owoż nikt nie przybywał na rozkazanie; a srogi ztąd frasunek; każdy jeno myślał, jak swojego dobra chronić, ten sam, ten tam szli samopas. Widząc to, Król pytał rady u Glińskiego, który haniebną znowu zdradą, jakby go dobić już chciał, na poły tylko żywemu, do-

radził, aby sam do Lidy jechał, kędy słychać było, jako się dość szlachty zbierało i pany Senatory niektóre: aby tam starał się ich nakłonić do wspólnego ratowania w niebezpieczeństwie powszechném. Król jako był zawsze do zbytku powolny Kniaziowi, tak znowu nie mając siły po temu, dał się nakłonić i zaraz nam zakazano nazajutrz do Lidy. Królowa Helena bojąc się męża chorego odstąpić, też z nami ruszyła. Pamiętam jako dziś ten żałośny, a prawie pogrzebowi podobny pochód. Było nas przy Królu ludzi ze dworskimi kilkuset, był Kniaź Michał, pan Kanclerz, Kapelan i Spowiednik królewscy, Biskup też Wileński i kilku z jego strony, z którymi się Król, przyciśniony potrzebą przejednywać zaczął, przypuszczając ich do siebie. Rano jako świt wyniesiono Króla na przygotowany wóz, wysłany wysoko właśnie jako mary. Królowa jechała tuż osobną kolasą, a reszta dworu wedle pospolitego zwyczaju na koniach. Kniaź Michał popędził trochę przodem do Lidy, aby na zamku mieszkanie zgotował dla Króla. Dała się nam ta droga we znaki, a choremu jeszcze srożéj, bo w Auguście miesiącu, upał był wielki, pył srogi, a

kamienista też i trząska droga, dla której stękał Król i nieraz zatrzymywać się kazał. Tak nam było wszystkim smutno, że niemal całą drogę której było mil dwanaście, gęby nikt nie otworzył. Słońce za się piekło, że aż namiot nad wozem królewskim rozbijać musiano, aby chorego zasłonić. Trzeciego dnia dopiero, na zaraniu chłodem dopędziliśmy do Lidy, kędy prosto Króla na zamek stary który tam jest nad wodą wieziono, a gdzie Kniaź komnaty chędogie przygotować kazał dla starszych. My jakośmy mogli, bo był zamek murowany ale niewielki, mieścili się podle niego w gospodach. Skorośmy tu przybyli, jęła się szlachta cisnąć do Króla i panowie, a tu już widząc jak się święci Kniaź Michajło, na czas zaprzestał swoich podszczuwań i jakoś niby zgodę uczyniono. Król za się i z Królową, co głosu miał, to wołał i prosił aby się wszyscy ku wspólnéj obronie gromadzić, nie zaniechali. Jako też owi i sami widząc, że nieprzyjaciel rozzuchwalony coraz śmieléj plondruje, postrzegli się i gromadzić do kupy tuż w Lidzie poczęli.

Ale nikt nie wiedział o Tatarach inaczéj,

tylko że są koło Nowogródka, nie spodziewano się ich tak prędko pod Lidą.

A no drugiego dnia, kiedy radzą o obronie, a kupią się do Króla wszyscy, pomnę stałem u bramy Zamkowéj, która w ulicę patrzy i błaznowałem z dworaki, co się nie bardzo przeciw Tatar śpieszyli, a drugich wyprawiali, jakobyś rzekł cudzą ręką żar zagrzebywali.

Spójrzym, aż ci leci ktoś ulicą na koniu prosto k nam; a przypadłszy bliżéj zsiada i woła.

Tatarzy, Tatarzy!

Poczęto się do niego gromadzić na ten krzyk.

—Co? jak? pytano.

—A to widzicie WM. odpowiedział, skazując im na policzek, który miał przebity wskroś, a z którego jeszcze krew mu ciekła — za godzinę będziecie tu mieli nieproszonych gości, nie daléj mili, Nowogródzkim gościńcem pędzą Tatarowie na Lidę.

Naszedł na to Kniaż Michajło i jął pytać.

—Jechałem, prawi szlachcic, drogą do Lidy, w mili z tąd potkali mnie Tatarzy, którzy tam ze wsi pędząc bydło i ludzi gnali. W konia chciałem uciekać, obrócę się, dwu

za mną, a jeden puścił strzałę z łuku, która mi twarz jako WM. widzicie zraniła. Tu ja nie patrząc bolu, westchnę do Najświętszéj Panny i zetnę szkapę batem i puszczę się co sił i tchu stało. Pędzą oni za mną, pędzą, aż im pomęczone konie ustają i tak porzucili mnie przecie w pół drogi, a jam się dognał ledwie żywy.

Tak mówiąc szlachcic ocierał pot z czoła i zdyszany sapał. Gromadzili się wszyscy do koła; ale jak to pospolicie bywa, wzięto go za szalonego, a wieści nie wierzono; wszyscy mówili że to być nie może, wszakże baczyłem że tłumoczki i węzełki po kątach zbierali, a konie juczyli i śmiałem się z nich.

Ale Kniaź Michajło, jako był wojak dobry, choć złego serca człowiek, zaraz chcąc te wieści sprawdzić, posłał swoich sprawnych Raczów, starych żołnierzy, aby dostali języka. Król jeszcze o tém nic nie wiedział, ale Królowa któréj się doniesło, klęczała przed obrazem Matki Boskiéj i modląc się płakała, a na najmniejszy krzyk w ulicy, prawie mdlała. Rano pojechali jakoś owi Glińskiego żołnierze, a z południa ujrzeliśmy ich, że już w miasto pędzili nazad

i nie próżno, bo na wysokich kopjach, wieźli dziewięć szkaradnych głów tatarskich. Ujrzał ich Kniaź, a i o więcéj nie pytał, ujrzał Kanclerz a wnet kazał dworowi królewskiemu gotować się do drogi, Królowa za się Helena przez okno zamkowe, obaczywszy przypadkiem, one posoką zlane pyski pogańskie, cale bez duszy padła. Rozruch tedy stał się około Króla wielki a niewypowiedziany. Sam Król niechcący dowiedział się o bliskości Tatar, od czego gorzéj omdlał i osłabł. Biskup tylko i Kanclerz głów nie potracili, a Kniaź także, który już gotował się dowodzić szlachcie i iść przeciw poganom. Reszta dworu targała się jak w ukropie, nie wiedząc co czynić, ten uciekał, ów wrzeszczał, inny co pod ręką było chwytał, dzwony biły trwogę, mieszczanie płakali wśród rynku ściskając za nogi Kniazia i prosząc aby ich z żonami i dziećmi ratował. W ulicach czysty obóz, bo pełno było szlachty z różnem uzbrojeniem, różnych lat i postawy, która miała iść na Tatar. Jedni konie siodłali, drudzy na kamieniach szable ostrzyli, inni na ochotę pili i wrzeszczeli. Mieszczanie co bogatsi, to do kolas, do wozów, zaprzęgali, co kto miał pakowali, żony i dzieci

płaczące sadzali i tak gościńcem wileńskim ku Wilnu snuli się, prowadząc za sobą bydło, gnając kozy i owieczki i świnie. Widok to był, gdyby nie strach od Tatara, śmieszny a dziwny tego powszechnego popłochu, krzyku, tumultu i wielkiéj bojaźni.

Na zamku też u naszych nie lepiéj, bo gdy Król jęczy, a Królowa we łzach się rozpływa, dworacy głowy swoje tracą, patrząc na te Tatarskie. Co kto krzyknie w ulicy, a było wrzasku nie mało, to im się zdaje, że już poganie na karku siedzą, wyglądają przez okienka, porywają się do szabel i rusznic.

Kanclerz Łaski jakom rzekł wyżéj, cale głowy nie postradał, pocieszali oni Króla siedząc u jego łoża, tém, że na Tatar zgotowało się już było dziesięć tysięcy szlachty, która ich walcząc na swoich śmieciskach łacno odeprzeć mogła, by ich i dwoje tyle było. Szło tu tylko o wybranie wodza, a jako najpierwéj nasuwał się Kniaź Gliński; który się rycerskiemu rzemiosłu nie tylko na własnéj ziemi przypatrzył i uczył, ale we Włoszech, Hiszpanij i na dworze Maxymiljana Cesarza. Toż gdy jemu jednemu nie zdało się całych sił w ręce oddawać,

postanowiono u łoża królewskiego, aby połowę wojsk wziął pod swoje rozkazy Kiszka Hetman Wielki, jako to i z urzędu swego powinien był uczynić. Ale dowiedziawszy się Gliński że miał słuchać Kiszki którego z dawna jako partyzanta Zabrzezińskich nienawidział; zgoła nie chciał nic poczynać. Toż Kiszka uczynił się chorym, a dowództwo przy Kniaziu Michale samym zostało. Tu już Królowi urządziwszy te rzeczy należało śpieszyć z Lidy nazad do Wilna, aby go w zameczku nie zachwycili mało obronnym, gdzieby się im oprzeć nie było można, w Wilnie za się nie tyle mury poczęte i zamki, jako sława tego wielkiego miasta broniła, o które by się kusić tłuszcz ona, nie odważyła. Przygotowania do drogi poczyniono jakoś do wieczora, ale że Król jechać już wozem nie mógł, bo się był srodze strząsł, a i wypocząć nie było kiedy, wymyślili tedy nieść go w lektyce leżącego między dwóma końmi. Sam Kanclerz dobrał tych którzy koni dosiąść mieli, dla większego bezpieczeństwa królewskiej osoby; a ci byli, Mikołaj Rusocki, pożniej Kasztelan Biechowski i Jan Sobotka ze dworu Kanclerza, jego powinowaty.

Tak tedy ruszyliśmy na powrót z Lidy do Wilna wieczorem tegoż dnia, Król w lektyce, Królowa w kolasie, reszta konno jako Jan Łaski Kanclerz, Biskup Wojciech Wileński, Jan Zabrzeziński. Nie bał się już Kniaź Michajło, choć nieprzyjaciół swych przy Królu zostawiał, bo go widział w takim stanie, że do niczego był nie zdatny i słuchać nie mógł by mu co Anieli prawili. A to też była podróż smutna i osobliwa, z pośpiechem wielkim, bo konie pod Królem przemieniali, co kilka mil, w jękach i niespokojności nie małéj. Oglądaliśmy się gdy noc przyszła za siebie, czy za nami kto nie goni, a widzieliśmy wszyscy dobrze dalekie łuny tatarskich pożogów, któremi płonęły wsie w mili od Lidy do koła, bo kędy zagon ich przeszedł, to nic po sobie nie zostawił tylko ziemię a wodę, i to nie czyste, bo ziemię popiołem, a wodę krwią zawalaną. Srogi strach nas i mrówie przechodziło, gdyśmy tak nocą, w milczeniu pędzili lasami i szerokiém polem do Wilna. Całą oną noc bieżeliśmy bez ustanku, a jeszcze i na dzień zostało drogi kawałek. Dopiero wieczorem dobiliśmy się do Wilna, a jakeśmy w dolinie ujrzeli jego wieże i mury, toż zamek z ba-

sztami, lżéj dopiéro na sercu stało. Podobni zbiegom, cicho, bez huku i witania jechaliśmy ulicą w Zamek, kędy Króla chorego złożono, a tak złamanego podróżą, iż mówić i poruszać się nie mógł. Biskup jak skoro do Wilna przybył, jął się zaraz około obwarowania lepszego miasta krzątać, bo nikt wiedzieć nie mógł, czyli i tu poganie probować szczęścia nie przyjdą Nakazano modły po kościołach, na odwrócenie plagi pańskiéj od niewinnego ludu, i przebłaganie Jego gniewu. Na zamku smutno było jak w grobie, bo żadna wieść od wojska nie dochodziła, a niepewność była wielka, gdyż naszych połowa ledwie była tego co Tatarów, rachowano tylko na to, że do ostateczności przywiedzeni bić się byli powinni lepiéj niżeli najezdnicy dla łupu. Król znękany ostatnią podróżą i wielkim strachem którego doznał, skoro do Wilna, żadnéj o sobie nie dawał nadziei. Spójrzeć było tylko na jego oblicze, to na niém śmierć już napisała, że go rychło wziąść miała z sobą, bo był jako niemowlę, abo jeszcze gorzéj niemowlęcia bez ruchu, bez mowy i bez siły. On, co niegdy łamał żelazo w ręku, teraz rąk podnieść nie mógł, ani się z boku na bok

przewrócić, a jak wprzód mało i powolnie, tak teraz nic nie mówił wcale i pokarmy mu (a maluczko ich potrzebował) do ust wléwali. Toć, nie lekarze już obsiedli go, bo nie było tu co radzić, kiedy Bóg życie widomie odbiérał, ale xięża Franciszkanie i Bernardyni, modląc się u łoża jego dzień i noc. Smutny i to był widok opuszczonéj komnaty owéj królewskiéj, onego Króla bez dworu, leżącego na poły umarłego, bezsilnego, a jeszcze pod strachem od nieprzyjaciela, który mu państwo niszczył. Zapuszczone okna komnaty, tylko smutne pogrzebowe światła jarzęce płonęły nie jasno, dwuch pacholików w nogach łoża, a kilkunastu xięży śpiéwających pieśni lub szepczących pacierze. Kanclerz i inni naradzali się co czynić mieli, bo śmierć królewska była widoczna i spodziéwana, a Zygmunt Opawski natenczas Xiążę, nie przybywał jeszsze. Królowa raz w dzień przychodziła do łoża rzewnie płacząc, a resztę czasu spędzała w Cerkwi Preczystéj, którą tak zwano, nie daleko od Zamku położonéj, co ją była odbudowała na nowo i uposażyła wielce. Był tam u Królowéj obraz N. Panny cudowny wielce, od ojca jéj dany, gdy do Litwy jecha-

ła, ten powiadają łzami na on czas płakał, z czego źle wszyscy wróżyli. A nie brakło też i wróżb innych, bo się krwawy ukazał kometa, mało co przed śmiercią królewską i na zamek Krakowski, spadł jakiś ogień z nieba, co wszystko pewne znaki były, śmierci Alexandrowéj, któréj wszyscy czekali tylko, myśląc o sobie.

A panowie litewscy wielce się jéj lękali, choć i życie królewskie nie wiele im dobra pod wpływem Kniazia Michajło obiecowało; ale bali się, jako mówili głośno, aby korzystając z tego, że wojsko miał w ręku, nie chciał się na Wielkie Xięztwo posunąć. Przetoż szczérzéj niż kiedykolwiek z Polaki byli, a pomocy ich wyzywali. Tamci zaś tém radniej im podawali ręce, że i im wielce o Unją z Litwą chodziło, przez któréj rozerwanie, połowę sił swoich, byliby potérali.

Takich to trwożnych i smutnych dni kilkanaście nam uszło, w oczekiwaniu wiadomości od wojska, Król miał się gorzéj a gorzéj, a widząc smutne twarze koło siebie, tracił nadzieję dobrą o wojskach swoich. Aliści jakby na pocieszenie jego, z wieczora w wigilją śmierci napędził do Wilna posłaniec z wiadomością,

że Gliński pobił Tatarów. Kanclerz Łaski i inni, do których piérwszy z tém przybiegł, poszli z nim do Króla. Nacisnęło się też dość tłumu za niemi do izby w któréj Król otoczony xiężmi, ciężko od boleści dychał. Głośno rozpowiedział o pobiciu Tatar Kanclerz, ukazując posłańca. Na te słowa oczy Alexandra zabłysły, głowa się poruszyła, cały zadrżał, jął wyciągać bezsilne ręce i łzy mu się toczyły z radości. Dwoje chłopiąt co tam stali, podnieśli ręce Królowi, który płacząc i wznosząc oczy, dziękował Bogu i modlił się. Potém za się, choć mowy już nie miał, jął wzrokiem i uściskiem żegnać wszystkich, jakby okazował, że teraz spokojnie zejść może, gdy o zwycięztwie się dowiedział. Wszyscy co tam byli, płakali widząc, jak uczuł pan nieszczęśliwy, troszkę pomyślności, która mu nad grobem zaświéciła. Przyjmował potém Król w nocy Sakramenta i drzwi jak zwyczajnie otwarto, przypuszczając wszystkich do pożegnania, gdyż widno było, że już nie długo miał żyć. Królowa Helena dobiegła też do łoża, spodziewając się czyli Królowi ta wiadomość zdrowia nie powróci, ale ona podobno wzruszeniem koniec tylko

przyśpieszyła. Jakoż i w kilka godzin potém umarł.

Dobry to był pan nikt inaczéj nie rzecze, bo dla sług, dla dworzan, dla najbliższych hojny bez miary, zły tylko dla siebie, a i temu nie winien, bo był słabego umysłu. Panowie Senatorowie Litewscy, którzy najbardziéj do niego żal mieli, wiedzieli iż złe które im uczynił, to nie z siebie, ale z naprawy Glińskiego. Świećże Panie nad duszą jego.

Zaraz po śmierci Alexandrowéj, wziął się spór o pogrzeb, jako go miano odprawić; bo Kanclerz Łaski, jako wiedział o woli królewskiéj, tak koniecznie chciał wieść ciało jego do Krakowa z pany litewskimi. Ci za się, a mianowicie Zabrzeziński i Biskup Tabor, a k temu i inni wołali wielkiemi głosy, że skoro Wilno opuszczą, a ujadą za ciałem, Gliński świeżém zwycięztwem nadęty, mając po temu swych Rusinów, łatwo stolicę opanuje, zaczém i Wielkie Xięztwo mieć będzie w swojém ręku. Spór o to toczył się wielki i długi, a choć Łaski swego zdania zawsze jako mógł nie ustępował, jednakoż Biskupowi i drugim dał się jakoś przekonać, a przynajmniéj, wstrzymać do przyja-

zdu Zygmuntowego, którego się spodziewano co' chwila.

My za się dworacy, a ja osobliwie, utraciwszy pana, całeśmy nie wiedzieli co poczniemy z sobą, do czasu jeszcze byliśmy przy Zamku. Kędy mianowicie suknia moja dziwną się zdała, przy kirach pogrzebowych. Także też przebrałem się jako i drudzy, a czekałem co z nami będzie. Dano też znać o Zygmuncie, który w dwunastu milach od Wilna dowiedział się o Alexandrowéj śmierci i bieżał do Wilna. Wszyscy panowie ile ich tam było, pośpieszyli z poczty przeciw niemu, bo się była pogłoska rozeszła, że i Gliński przeciw Zygmuntowi ciągnął w siedémset koni. Drugich też trwożyło to, że Kniaź takiego ludu nabrał z sobą, bo wiedzieli, że Zygmunt nie ma jeno najwięcéj dwuset jezdnych, a gdyby przyszła fantazja toby go był zabrał ze wszystkiém i uczynił co chciał. Nuż tedy wszyscy na koń, i ja z niemi wmięszawszy się do pocztu Pana Kiszki, który mnie dosyć lubił i pojechać z sobą dozwolił. Jechaliśmy nocą i dniem przeciwko Zygmuntowi, którego przydybaliśmy w lasach, gdzie już i Gliński prawie o to dojeżdżał. Byliśmy prze-

to świadkami spotkania, a zaiste poczet Marszałkowski świetniejszy i liczniejszy był od przyszłego Króla. Czy to jednak Gliński strachał się przybywających Panów Senatorów, czy mu jeszcze pora nie była przyszła, ale nic nie począł. Owszem ujrzawszy z daleka na drodze Zygmunta zsiadł wcześnie z konia, zdjął czapkę, pieszo podszedł ku niemu i całując podaną rękę, gdy się Xiąże zatrzymał, począł powitanie. Długie ono było, bo się Kniaź Michał z podejrzeń wrzuconych o Wielkie Xięztwo oczyszczał, na nieprzyjaciół swych bił, świeże zwycięztwo wystawiał i wierność swą a posługi ofiarował. Zygmunt też jako był Pan baczny i rozumny, tak z wielkiém na pozor sercem go obłapiwszy, dziękował a łaskę wielką obiecał. Przystąpili za się i inni Panowie Senatorowie, Wielkim Xiążęciem Zygmunta witając, których wszystkich nie mniéj wdzięcznie przyjmował. Potém już razem wszyscy jechaliśmy dość milczący. Xiąże rozpytywał się o Tatarach, o śmierci miłego brata i innych sprawach, i tak przybieżeliśmy do Wilna.

Tu ledwieśmy przybyli, Król zsiadłszy z konia w podworcu zamkowym, poszedł naprzód

do ciała braterskiego, kędy się modlił i płakał. A tu też zastąpiła mu drogę Królowa wdowa cała w czerni i we łzach i padłszy do nóg, prosiła aby jéj był łaskaw, co przyrzekł.

Wznowiły się też tego wieczora rady o pogrzebie królewskim, gdzie się miał odbyć, a Zygmunt usłuchawszy w tém Biskupa, postanowił aby, acz nad wolą braterską, za żywota jego okazaną, pogrzebiono go u Ś. Stanisława na Zamku, gdzie leżeli Witult, Zygmunt, syn jego Michajło, Świdrygieł i inni Xiążęta. Jęto się też przygotowań pogrzebowych, po których Panowie Senatorowie postanowili nie mieszkając Zygmunta starodawnym zwyczajem podnieść na Wielkie Xięztwo, jako wprzód Alexandra i innych.

Ale chociaż Alexander umarł jakoś w miesiącu Sierpniu, to nim przybył Zygmunt, nim się rozgospodarzył w Wilnie, a potrzebne przygotowania do pogrzebu poczynione zostały; pociągnęło się do Października. Dopiéroż w Październiku jakoś, a była jesień piękna jeszcze, odbył się Alexandrowy pogrzeb dosyć spaniale; szło naprzód mar czyli wozów czarnym kirem okrytych trzydzieści jeden, każdy cztérma koń-

mi w kapach czarnych też, ciągniony, na jednym z nich wieziono bogatą trunę, w której były zwłoki królewskie. Wiedziono zatém koni łożnych, adamaszkiem axamity i innemi materjami drogiemi całe okrytych trzydzieści i dwa, a każdego prowadził chędogo odziany masztalerz. Niesiono osiém chorągwi z herby różnemi, czterech rycerzy szli z berłem, mieczem, jabłkiem i koroną. Był też cały dwór nieboszczyka Króla w żałobę przybrany, gdzie i ja się znajdowałem. Rzekł mi pod ten czas któś.

— Stańczyk tyle czuje żałobę, co konie pod czarnemi kapami.

Odpowiedziałem mu.

— Daj Boże, abym wszystkiego głupstwa ludzkiego tyle tylko czuł i widział, co te konie.

Ony wszystkie pogrzebowe ubiory i przybory, darował potém Zygmunt do kościoła Ś. Stanisława, ba i koni wiele, z tych które mary ciągnęły. Były tam i mowy wielkie pochwalne i nabożeństwa siła i świateł mnóstwo gorzało i dzwonów natłukli; co wiedzieć jak to wiele duszy nieboszczyka pomogło.

Zaraz po pogrzebie onym sławnym, w dni

jako dziś pomnę dziewięć, wzniesiono Zygmunta na wielkie Xięztwo z obrzędami starodawnemi. Kniaź Michajło (sam Pan Bóg tam wie co się w duszy jego działo pod ten czas) z urzędu swego Marszałkowskiego, Zygmuntowi miecz podawał. Rzekłem na on czas w Kościele

—Żeby go nim po szyi.

I wielu się z tego śmiało, bo warto było, jak się potém pokazało, a nie chybiłem radą.

Tuć pono przypada i o sobie cóś rzec jakom tego czasu przez Zygmunta już wielkiego xiędza, za trefnisia dworskiego przybrany został. Jakoś to było iż w dziedzińcu Zamkowym, pospolitą naówczas zabawę sprawiano, przy xięciu, puszczając psy na niedźwiedzia. Ale one ogary czy się były objadły czy co, brać go nie chciały. Xiąże się srodze gniewał i inne psy puszczać kazał, pokarawszy psiarzy iż okarmili je. Stałem tedy przypadkiem niedaleko między dworskiemi i rzekłem.

—Niechby miasto psów, puścił Miłościwy Pan pisarze swoje, toć oni by się najlepiéj obżarli, przecię zawsze biorą.

Smiech się wszczął, aż xiąże dosłyszał i spytał—Czego się tam rybotano. Powiedział

któś, Zygmunt się rozsmiał z trefnego żartu i wyzwał mnie ku sobie a kazał toż powtórzyć.

— Coś ty zacz, spytał potem.

—Trefnisiem byłem nieboszczyka Kardynała Fryderyka, a miłego Pana Alexandra, odpowiedziałem, teraz z psy i sokoły, do waszéj Miłości należę.

Kazał mi tedy dadź suknią Zygmunt i więcéj nie odpuścił od siebie, a jako mnie, mogę smiało rzec, miłował to jako żaden z poprzedników. Bo lubił żarty, i znosił je po królewsku nigdy się za nic nie gniewając, choć czasem człek i miary przebrał, jak to się pokazowało. Otoż od téj chwili chodziłem i jezdziłem z nim wszędy, nieodstępnym będąc.

Nim przyjdę za się do jego sławnego panowania, którem całe przeżył, opowiem tu jeszcze, co się mnie jednego tycze, a choć to w Kronikach nie miejsce, własnego żywota wypadki zapisować, ale mnie to ujdzie, bo jaki pisarz takie pisanie.

Z młodych lat, nie byłem nigdy kobieciarzem, ani mnie kiedy skusiła podwika by najsubtelniejszą okrywała postać. Było ich dość

w Krakowie, co ząbki wyszczérzały, a żadna mnie przecie nie ujęła, abym za nią poszalał, jak to drudzy czynią. Ale jeden dziś, drugi jutro, musiałem i ja głupstwo zrobić, a w miłostki się uplątać. I napadło mnie to w Wilnie. Kiedyśmy tu z Alexandrem przybyli, tak sroga była trwoga od choroby królewskiéj i Tatarów, że mnie błazna cale nie potrzebowano, bo wszyscy ze trwogi pobłaźnieli. Anom chodził samopas po miastu z innymi, upatrując ludzi, aby się z nich śmiać po swojemu. Tylko suknię onę błazeńską zrzucałem gdym na miasto wychodził, bo było się w niéj pokazać na ulicę, toś się nie opędził chłopiętom, które za tobą biegły, a wżdy i błotem i kamieńmi ciskały. Trefnisia bowiem nie wiém czemu za bezecnego wszyscy mają, a choć się z niego smieją Króle i Pany, choć go na dwór przyjmują przecież go prosty lud, jak kata albo psiego zbójcę omija, i nikt by mu ręki nie dał, gdyby wiedział, co zacz jest. Mało tam twarzy mojéj znano na mieście, a gdym chodził, to w barwie dworskiéj, nie w szachowanéj sukni, i takem był z różnemi po gospodach się zapoznał, a drudzy i do domów zapraszali. Był

tam jeden bogaty kupiec, który się zwał Boim z dawnéj uczciwéj mieszczańskiéj familij, któréj i we Lwowie i po innych miastach Rusi Litewskiéj, dość się rozpleniło. Ten razu jednego, (a był bardzo ciekawy nowin) poprosił mnie na miód do siebie, aby się czego dowiedział. Nałgałem mu za się wiele bo był tak łatwowierny, że byle siako tako bajkę sklecić, to ją brał za swiętą prawdę i nosił z nią wszędy, a gotów był za nią przysięgać potém, kiedy by kto zaprzeczył. Z czego, żem mu wiele naklamał, polubił mnie bardzo, bo drudzy dworzanie, ze strachu niewiele gęby otwierali i cedzili po słówku, prosił abym do niego codzień przychodził i wielką przyjaźń obiecował. Ja też nie od tego, z początku powiem prawdę, aby się nadrwić z niego, potém już za się z innéj przyczyny. A to z takiéj: Pan Boim miał córkę wcale cudną dziewkę i nie po białogłowsku rozumną. Niewiem ci czemu dali jéj się mieszczańczuki zasiedzieć, bo jakem ją poznał, to miała myślę lat już pod trzydzieści i była w porze stan obierać.

Z początku gdym ją obaczył, calem się ani zdumiał, ani poruszył widokiem jéj, jak to mło-

dym bywa, choć mi dopiero dwadzieścia lat było (alem starzéj wyglądał). Gładka była z twarzy, postawy poważnéj, wzrostu niemałego, oczu czarnych, włosa czarnego, płci tylko smagłéj, ale to jéj nie wadziło; nie stroiła się też bardzo, a chodziła skromnie nie swiecąc błyskotki i trzęsidłami choć ich miała za katy, bo była jedynaczka, a ojciec nie żałował. Z początku tedy jakom rzekł, nie rozmiłowałem się obcesowo, ale przyszła ona miłość powoli z rozmowy z nią coraz to częstszéj, w któréj wielki rozum okazowała. I niewiem jak się to stało że mi też, co dzień to gładszą się wydawała. Pan Boim wypytawszy mnie ze wszech stron o nowiny z królewskiego dworu (a sypałem mu ich pełną garścią, bom ich nie kupował i nie żałował) to często, jak mu co wypadło pilnego zostawiał mnie z córką, sam na sam. A tu już inne rozmowy i coraz czulsze były i baczyłem, że mną nie gardziła. Owszem widocznie skłaniała się ku mnie i była mi powolną. Poznała się ona zaraz, żem tu nie z nowiny, ale po nowiny przychodził do nich, ojciec też myślę zmiarkować musiał, ale com się do panny przysiadał, nie okazowali mi, aby

temu przeciwni bydź mieli. Ja też rozmiłowałem się jako kot, a coraz to mi Kasia była milsza i zdawała się piękniejsza. Użem nic nie robił, tylkom w jéj czarne oczy patrzał, a umiała je takie słodkie zrobić, żeby tam był Król upadł przed niemi. O wszystkiém też za się zabyłem i począłem sobie tęsknić na dworze, a coraz to częściéj zaglądałem do Pana Boima. To Pan Boim był w sklepie, a jam siadywał u córki. Aż mi zbrzydło moje błazeńskie rzemiosło i życie i począłem żałować żem się go przez rozpustę chwycił, a przemyśliwać, jakobym tę suknię zrzucił; wiedziałem bowiem, żeby mnie Kasia najmocniéj kochała, to za błazna nie pójdzie i nie tylko ona, ale żadna, chyba stara jaka miłosnica, a i to wątpię. A tu już srodzem się frasował, bom się wielce był w niéj pokochał, a rozumu jéj tom się wydziwić nie mógł. Bo wątpię aby tego czasu była białogłowa w Litwie, która by jak ona czytywała i pismo rozumiała, tak że nie jednemu uczonemu, mogła była pyłem oczy zasypać. I nie była z tego dumna, nie wyprowadzać jéj na to, to byś nie poznał, co się tam w onéj główce pod czarnemi włoski kryło, świegotała

jako ptaszek wesoło i skakała jako sroczka. Bo czego też jéj tam brak było! Raj to tam był w tym domu, wszystkiego po uszy, ptaszego mléka chyba brakło.

Wieleś tam osobliwości mógł widzieć, których i po królewskich zamkach, nie nalazłbyś pewnie, a xiąg pisanych i wyciskanych bardzo drogich, które jeszcze mało kto miewał, całe półki stały. Był by przedawszy je osadę kupił dobrą. Co zaś do klejnotów i innych drogości, to o tych i nie wspomnę. Ale Pan Boim jako wracał z podróży, bo jeździwał często do Pruss, i w inne kraje, za handlem swym, to zawsze cóś przywoził rzadkiego, niewidanego, pięknego.

A nie sobie pewnie, bo mu pieniądz był milszy jako kupcu, nad one fraszki bezcenne; ale dla córki, którą istnie po ojcowsku miłował. To też myślę, jako ujrzał iż się ona ku mnie skłania, z rodzicielskiego serca, nic na to już nie rzekł. A ja mu też do smaku przypadałem i o tom się starał wielce i nie żartowałem już sobie z niego jako przedtém, alem mu prawdę nosił, kędym ją gdzie tylko nalazł.

Trwało to tak nie pomnę jak długo. Owo

były szczęśliwe, a bodaj najszczęśliwsze żywota mojego chwile. Prawda, że człek zakochany rozum strada, ale za to, jakże mu dobrze, a on by się na swoje głupstwo, gdyby mu kto królestwo dawał nie pomieniał. Boć i to prawda, że tyle tylko razy człek szczęśliwy ile razy głupi. Szczęśliwy szalony — bo głupi, szczęśliwe dzieci, bo głupie, szczęśliwy zakochany, bo też niespełna ma rozumu. Pomnę jeszcze aczem stary i lat mi się po karku przetoczyło od tego czasu dobrze sześć dziesiątków, pomnę dobrze wszystko, jako było, i komnatę Kasi, i onego poczciwego Boima, świeć mu Panie nad duszą. Piérwsza izba była chędoga, ale po prostu przybrana — Białe ściany, ławy dębowe, stół też taki w pośrodku, piec malowany, a dokoła też ławy okryte, jakbym tam był wczora. Ale w komnatce Kasi, innego cóś nalazłeś, tam i podłoga misterna, i ściany wybite sukny pięknemi, a po ścianach wisiały święte obrazy, które Boim z Niemiec miał za wielkie pieniądze. Tam była i ona droga półka z xięgami, a łóżeczko chędogo usłane za firanki jedwabnemi, rzekłbyś wielkiej jakiej pani.

Co tam jeszcze drobnostek drogich, co ró-

żnych osobliwości, u okien, u komina, po szafeczkach, po półeczkach, nie wypowiem, choć mi to na oczach stoi. I widzę jeszcze w pośrodku Kasię, jakem ją widywał tyle razy, w sukni długiéj czarnéj, z włosy gładko uczesanemi, z xięgą w rękach albo jakim ptaszkiem, albo kwiateczkiem. Bo miała taki rozum że wszystko pojęła, a takie serce że wszystko kochała. Rzadka taka niewiasta; najwięcéj głowa serce zabija, abo serce głowę oszali. Już z całego domu, to była komnatka najroskoszniejsza, i nie dla tego że ona tam mieszkała, ale by tam i nikogo nie było nawet. Nie dałbym jéj za zamek królewski, w którego pustych komnatach, proch tylko podlatywał, zamiatany płaszczami panów Senatorów. Cóż dopiéro, kiedy się ożywiła jéj twarzą, jéj oczyma, jéj głoskiem, bo śpiéwała cudnie! był to raj na ziemi. Co my to tam za słodkie godziny pędzili, kiedy pana Boima nie bywało doma; ani mi się wówczas śniło o Tatarach, którzy po Litwie srodze plondrowali.

„A tak miłość moja z dniami rosła, że się stała wkrótce we mnie jedyną myślą i staraniem. Pytali mnie oni jakem się zwał, powiedziałem im własne nazwisko, które po ojcu miałem, i

jako w Krakowskiéj ziemi szlachecki kawałek posiadałem, a dodałem dobrze głośno, żem był szlachcic. Toć to pono jedno za mną mówiło, bo zresztą nic, wiedzieli mnie oni w łaskach królewskich, ale z tego wiele sobie nie obiecowali, bo znali jaka to śliska rzecz. A tu on klejnot ślachecki, któregom wprzód i denara nie cenił, najwięcéj mi pomagał, bo się bardzo pono chciało, mieszczaninowi wydać córkę za szlachcica. Wówczas to jeszcze nie tak jak teraz, co w Krakowie i Wilnie panowie Burmistrze równo ze szlachtą idą, i do klejnotów przyjmowani bywają. Za onych czasów to im jeszcze szabli nie wolno było nosić, ani safjanu, ani droższych sukien, a każdy ich popychał, jako chciał, mianowicie też panowie szlachta. To też najbogatszy mieszczanin, wydałby był córkę za najuboższego szlachcica, i przykładów tego trafiało sie nie mało.

Kiedy tak w onéj miłości, całkiem ochynąwszy się po uszy ugrzęzłem, począłem przemyśliwać jako się to wyżéj rzekło, jakbym z siebie oną błazeńską sukienkę zrzucić, a do pierwszego stanu szlacheckiego powrócić; bom się prawie brzydził sobą, dla bezeceństwa tego rze-

miosła, którem był sobie przez swawolę młodzieńską obrał. Aleć nie łatwa rzecz była tak to zrobić, aby nikt piérwszego mi stanu nie przypomniał i owéj plamy, którąm sobie uczynił, na oczy nie wyrzucał. Toż różne mi myśli po głowie chodziwały, ale wszystkie do spełnienia trudne, bo mi jak one piętno nie zmazane, które zbrodniom na czele wypiekają, stan piérwszy bezczesny wszędy na drodze stawał A choćbym był i suknią zrzucił i onego błazeńskiego rzemiosła się zaprzał, znalić mię ludzie i przypominać mogli, żem był przedtém trefnisiem. Pasowałem się tedy wielce z sobą, jakoby uczynić, gdzieby się udać, aby mię nikt nie znał — ale moja Kasia jak na toż nie mogła się oddalić z Wilna. Chociażem się, jakom rzekł szachowanych sukien zbywał idąc do niéj przecież strach mię brał nie mały, ile razy dworzanina królewskiego postrzegłem gdzie blizko, aby snać nie wydał, co zacz byłem. Trwało to jednak dość długo tak, iżem po prostu za dworzanina uchodził; a tak się strzegłem onego zwykłego błaznowania aby mnie po niém nie poznano, iż prawie ponury stałem się, z wielkiego przestrzegania nad sobą. Owoż ten

humor podobał się Kasi, która była sama poważna bardzo niewiasta, a wartogłowów niecierpiała. I jam się też z początku męcząc a siląc, potém tak przenarowił, iżem inne obyczaje wziął i cale nie błazeńskie. Małoć kto wówczas na to zważał, bo na dworze królewskim nie potrzebowali trefnisia, pozwieszawszy nosy w dół jako w najlepsze. A jam też codzień chodził do mojéj miłéj, a podczas gdy jéj doma nie było, tom za nią gnał na przechadzki i do kościołów. Już tedy widoczna była ojcu i córce moja ku nim życzliwość, a staranie o przyjaźń, bom się z tém nie taił i umyśliłem im oczy zamalować, wymyślną bajką jaką, a ożenić się.

Owoż jednego ranka zastałem Kasię samą, w onéj cudnéj komnatce i po rozmowie która była żywsza niż kiedy, upadłem jéj do nóg z oświadczeniem. Przyjęła je dobrze a odesłała mnie prosić zezwolenia pana rodzica; który wieczorem miał być doma. Odszedłem niespokojny do Zamku wieczora czekając niecierpliwie. A tu jakoby właśnie na większą moją mękę, gdy jakoś Król miał się lepiéj, posłali za mną, abym do jego łoża błaznować przyszedł. Wolałbym był, żeby mi byli kazali niewiem co

najgorszego, tak mi się błaznować od srogiego niepokoju nie chciało. Ale cóż, aby się nie dać odkryć, musiałem śmiéch udawać i drwinki stroić, choć prawie krwią mi serce zabiegało. Jakoś przecie nad wieczór skończyła się męczarnia i pozwolono mi pójść precz, bo Król usnął. Ja tedy pędem w miasto do P. Boima. Zastałem go już, myślę że mu cóś córka powiedziała, bo wyglądał jakby mnie czekał. Po krótkiéj przemowie, do nóg mu znowuż. Podniósł mnie łaskawie bardzo i nic nie mówiąc, jął pytać.

— Wiesz WM. rzekł, jako córkę jedynaczkę kocham, bo mój to cały skarb i co mam a na com żywot mój pracował w pocie czoła, wszystko to dla niéj. Muszęć tedy dobrze się rozmyśléć komu ją dam aby ją szanować umiał i szczęśliwą uczynił. Ani uwłaczam WM. boś mi do serca trafił, ale muszęż dobrze wiedzieć, ktoś taki i co masz i kędy twoja rodzina, bo acześmy mieszczanie, ale druga szlachta nie będzie tak dumna klejnotem, jako my starodawną uczciwością, którą słyniem.

Tu ja mu powtórzyłem ową gadkę moją, jak się zwałem i żem był szlachcic, ale na to P. Boim mi odpowiedział.

—A cóż WM. na to, kiedy powiem, żem drugich dworaków o WM. pytał, a oni mi odpowiedzieli, iż tego nazwiska nikogo na dworze królewskim nie było.

To rzekłszy, jakby mnie wrzątkiem zlał, poczerwieniałem cały, spójrzę na Kasię a ona spokojna ale surowo na mnie pogląda i odpowiedzi czeka. Prędkom wszakże ochłonął i rzeknę im.

—Prawda to, bo mnie pod tym nazwiskiem na dworze nie znają, a to dla przyczyny ważnéj, iżem je odmienił, bo ojciec mój zasłużył był niełaskę u Króla Alexandra, przeto dając mię na dwór, matczyne nazwanie przyjąć mi kazał, aby za się tamte nie przypominało Królowi ojca, a mnie doli nie psowało.

Niewiem uwierzyli czy nie, ale zamilkli.

—A matczyne nazwanie WM.? spytał P. Boim ciekawie.

Powiedziałem mu je, ale jako żywo pod nim mnie też nie znano, i wiedziałem, że się kłamstwo wyda, tylkom się ratował jak mogłem, bo i tonący brzytew się chwyta.

Za czém kiedy ginąć to ginąć, uplotłem drugą bajkę, jako wczoraj zdarzyła mi się zwada

na dworze, jako rozjątrzony dobyłem szabli na Zamku (za co sroga kara była) i przeciwnika mego raniłem w piersi, tak że teraz tułać się musiałem i pokazać się więcéj na dwór nie mogłem, bo mi stali na gardło.

Kiedym to rzekł Kasieczka pobladła, P. Boim głową pokiwał i zamilkli.

—Cóż poczniesz z sobą? zapytał.

—Myślę, jeśli mnie łaska WM. potka a nie odmówisz mi córki swéj, abyśmy kędy się wynieśli, na lat kilka, póki by zapomniano o wszystkiém.

Na to nie dali mi odpowiedzi, P. Boim głową poruszał, jął za czapkę, a był późny już wieczor, skinął głową i wyszedł. Zostałem się z Kasią, która widomie była bardzo smutna.

Począłem ją tedy pytać:

—Co ci jest Kasienku miła?

—Sama niewiém, odpowiedziała, ale mi ciężko na sercu.

—Powiedz mi szczérze, rzekłem, nie z mojéj to przyczyny?

—Sama niewiém.

—Może nie czujesz ku mnie serca?

Obejrzała się i cóś szepnęła, ale w oczach

jéj nie było tego cóś miłego, jak czasem bywało, kiedy chciała; miała minę niespokojną.

— Kędyż to tak późno ojciec poszedł? spytałem.

— Niewiém, odpowiedziała. Ale wszystko była ze mną zimna jak nigdy. Pomyślałem tedy alboż ona mnie cale nie kocha i tylko udawała, sądząc że wielkiego szczupaka złapie, a tu plotkę wyciągnęła albo mnie miłuje, a wtedy wszystko dla mnie uczyni.

I padłem jéj do nóg powtóre.

— Moja miła Kasienko, powiedz proszę, jak Pana Bogá ukrzyżowanego miłujesz co ci jest, a czemuś nie swoja? wspomnij ony chwile razem spędzone w twojéj komnatce, spomnij żeś ongi była łaskawsza na mię! Cóż to za przemiana.

Niespokojnie spójrzała na mię i odpowiedziała.

— Poczekaj ino, a o wszystkiém się dowiesz.

Tu ja ochłodłem bardzo z onéj wielkiéj miłości, jakby mnie kto zimną wodą zlał, bo mi cóś szeptało, iż Kasia tylko jeno udawała ono kochanie i czarnemi oczyma tak wojowała, aby męża złapać, a teraz wątpiąc o mnie, czyli

jéj będę dobry, albom nie podłego stanu człowiek, już się cofała po troszę. I myśląc to wzięła mnie wielka ku niéj pogarda, bom to miał za zbrodnią, aby udawać czego kto w sercu niéma, drugiego rozmiłować, saméj tylko komedje grając. Cale bo była inna, a choć jeszcze czasem błysnęło jéj z oczu po dawnemu, to się prędko chmurzyło czoło, jakom nigdy przedtém nie widział. Domyślałem się tedy iż ojciec pewnie kędy na zwiady poszedł, alem się już nic nie lękał, bo mię złość porwała i żal srogi żem się tak dał uwieść. A teraz z obojętnego obejścia widziałem dobrze, iż Kasine dawne umizgi nie do mnie to były, tylko do szlacheckiego klejnotu i do męża.

Tak tedy w godzinę nie spełna czasu, rozwalił się on budynek wielkich nadziei, a patrzałem rychło tylko runie o ziemię i w proch się posypie. Na mojéj twarzy wyczytała mądra Kasia, co się w duszy działo, a że jeszcze nie pewna była, czy ojciec złą czy dobrą nowinę przyniesie, to się czasami na dodanie mi serca uśmiechnęła, resztę czasu udając głęboko zamyśloną. O! jakże mi się to patrzącemu na to i przenikającemu jéj serce, podłe wydało i nikcze-

mne, to rachowanie, pomiarkowanie dziewczyny i niby w handlu jakim targ ostróżny.

Kiedy tak siedzim razem, usłyszę głosy w ulicy, a potém szelest w sieniach, porwała się Kasia i zarumieniła, a tu drzwi otworzą się i wchodzi Pan Boim szukając mnie oczyma po komnacie, wiodąc z sobą, jakom zaraz poznał, jednego z dworzan królewskich.

Tylko co weszli, ów zbójca, zawołał wielkim głosem.

— To Stańczyk!

Pan Boim osłupiał na to nazwanie, a Katarzyne za głowę się chwyciła bo wiedzieli że Stańczyk był błazen królewski. Po czém ona Kasia, co takie oczy ku mnie nie dawno robiła, podniosła się wrząca z gniewu i zawołała wskazując palcem na drzwi.

— Precz!

O! jakem to posłyszał, małom nie padł, ale już miłość poszła, a został gniew tylko w sercu, jąłem więc śmiejąc się gorzko za czapkę i żegnając rzekłem.

— Bądź zdrowa, błazna kochanko!

Krzyk się stał wielki, a ja uciekłem do Zamku. Zemsta to była sroga, bo ów dworzanin

zaraz roztrąbił całą historją po mieście, a Kasi zostało do śmierci nazwanie — błazeńskiéj kochanki. Dla czego i nie poszła za mąż, aż ją ojciec potém wywiozł do Lwowa, bo tu już dłużéj dla ludzkiego gadania mieszkać nie mogli.

Co mi potém w sercu zostało — oto gniew na wszystkie białogłowy i żal wielki, tak że gdybym je był miał w ręku, mordowałbym bez litości, jak one mordują biédnych ludzi, zimną krwią, byle tylko męża złapały. Anom odtąd wszystkie je takiemi sądził i przeklął, bo w sercu miłości u nich niéma ino miłość siebie i swego dobra, a Bóg im na ludzkie utrapienie dał tak sztucznie udawać kochanie, że najstarszego by zwiodły, przymrużając oczki, a cedząc słówka jakby od serca szły. Toć już onéj historij mojéj dosyć, powracam do innych.

W październiku jakom rzekł stał się pogrzeb Alexandra w Wilnie, a Zygmunt mieszkał tu jeszcze prawie do końca roku. Przybyli tu posłowie z Korony, wzywający go na tron Polski, którzy Króla w Mielniku na zjeździe z pany Senatory Litewskimi zastali, kędy ich łaskawie przyjął i wesela różne a tryumfy czyniono z tego. Między onemi posły było kilku Biskupów, i on

Jan z Łaska Kanclerz, który tyle za Alexandrowego panowania, dobrego uczynił, jakeśmy już wyżéj rzekli.

A tam w Mielniku znowu się odnowiły między Pany Senatory Litewskiemi a Kniaziem Michajłem Glińskim, one stare zajścia, a nieprzyjaźnie. Korzystając z tego, iż Marszałek nie miał u Zygmunta onego zachowania, ani wpływać mógł tak łatwie na niego, Zabrzezińscy i inni jęli go przed Xięciem Panem coraz to gorzéj okazywać, przypominając wszystko, co za panowania Alexandrowego czynił i koniecznie dowodząc mu zdrady. Zważali też, że chociaż widomie Kniazia nie odpychał, wszakże serca ku niemu nie miał Zygmunt i łacniéj innych na niego, niż jego na innych dowodzącego słuchał. Tu kilkakroć potkawszy się z sobą owi nieprzyjaciele, o mało się do oręży nie porywali, gdyż Zabrzeziński nie inaczéj tylko zdrajcą zwał Kniazia Michajła, a to nawet w obliczności królewskiéj, gotując mu się tego dowodzić, a gardło dać jeśliby nie okazał jawnie.

Ale jakoś jeszcze na czas uciszyło się, gdy z Polski posłowie przybyli do Mielnika, a Zygmunt toż z nimi i niektórymi Litewskimi Se-

natory, ruszył się do Krakowa na koronacją. Pierwszych dni Stycznia ruszyliśmy z Mielnika ze dworem bardzo licznym do Krakowa, kędy byli z nami posły polskie, nie mało Litwy, a poczet też królewski i senatorskie bardzo świetne w litewskich wszystko a ruskich strojach. Wjazd się odbył dnia dwudziestego, a Zygmunt w wielkim tryumfie na Zamek wprowadzony, poczém na królestwo pomazany przez Arcy-Biskupa Gnieźnieńskiego. Jakie tam były wspaniałości i uczty i stroje nie opisuję, spomnę tylko że między Litewskiemi, zawsze celował Kniaź Michajło, choć tam byli i inni wielcy panowie, Radziwiłł, Chodkiewicz, a on srogi nieprzyjaciel Kniaziowy Jan Zabrzeziński. Drugiego dnia po koronaciéj, wedle starodawnego zwyczaju zasiadł Król w Rynku od mieszczan przysięgę przyjmując, a rycerzy niektórych pasując.

1507.

Ale to po onych kronikach najdziesz szeroko, kędy daty a suche liście zbiérają, ja tedy do innych spraw Zygmuntowych pójdę, a naprzód do onych swarów litewskich. Powiedziałem to wprzód jako Zabrzeziński zadawał zdrady Michałowi Kniaziu, w obec Zygmunta Kró-

la, u którego ucho łaskawe miał. Nastał tedy na niego Kniaź, jako na potwarcę, z żałobą poszedłszy do Króla, prosząc aby ich sądził. Król za się, jako już nie mało o Glińskiego zamachach słyszał, a bał się go, bo mu nie wierzył spełna, zimno na to odpowiedział, dając obu rok pewny, na któryby strony dowody i odwody złożyły. Zabrzeziński rok przyjął, a zabiérał się zdrady dowodzić, Kniaź też udał spokojność, acz jéj nie miał, ale go srodze ubodło że widział już Króla zniechęconego i sobie wcale nie przychylnego. Kręcił się tedy w Krakowie, jako zawsze usiłując przyjacioły jednać, bijąc i zabijając słowy Zabrzezińskich i nieprzyjaciół swych, wynosząc się z swéj potęgi, którą miał dla związków i bogactw wielkich a hojności. Zabrzeziński też chodził chwaląc się łaską królewską, i wołając, iż tu nie z Alexandrem Kniaziowi sprawa, z którego czynił co sam chciał, a obiecując mu w oczy dowieść na roku, jako był zdrajcą podłym, nie raz, ale sto razy, a brakło tylko sposobności żeby wszystkich pogubił.

Widząc, że tu rzeczy idą nie po jego woli, Kniaź Gliński, ujechał z Krakowa gniewny a

zafrasowany, udając się do brata Zygmuntowego Władysława Króla Węgierskiego i Czeskiego, u którego przedtém miał zachowanie. Tu pono nie wiele wskórał, acz przywiózł jakieś listy do Króla i posły z nim przyjechali wstawując się od Władysława, aby był z podejrzeń oczyszczony. Pod onym tedy zarzutem zdrady zostawał Gliński wielce frasowny, zbierając swych przyjaciół na Litwie od przypadku. Przyszedł rok, Zabrzeziński nie stanął dowodzić zdrady, a Król powolny nieprzyjaciołom Kniazia, odroczył sprawę na dal. Gdy się o tém dowiedział Michajło o mał nie wściekł z gniewu, wołając aby go wnet, ma-li co być sądzono i dłużéj pod zarzutem haniebnym, jako pod pręgierzem nie trzymano. Ale i to i listy Władysławowe nie pomogły nic, Król folgując Zabrzezińskim, dla Glińskiego nic uczynić nie chciał. Pomnę jeszcze, jako w on czas, przyleciał do Króla na Zamek, w ostatniéj desperaciéj, chciano go nie dopuścić ale prawie drzwi wyłamując wpadł do komnaty. Zygmunt ujrzawszy go z tą furją, ujść chciał, bo też gniew uczuł w sobie, ale Kniaź mu drogę zastąpił i zawołał.

— Miłościwy Panie, domagam się roku i sprawiedliwości, nie chciejcie uciekać przede mną, gdy w imie Boże proszę Was o to. Nie mały już czas włożyli mi jako kajdany na głowę, ową potwarz, pokalali mnie w oczach wszystkich, zbezcześcili, niechaj że dowodzą, niech dowodzą, albo niechaj jak psy odszczekują.

— Czas nie po temu, odpowiedział Zygmunt, są inne sprawy pilniéjsze, a Wasza Kniaziu przyjjdzie z kolei, gdy Panowie Zabrzezińscy staną.

— Miłościwy Panie, zawołał Gliński, dobrze jest potwarcom rzuciwszy komu błotem w oczy, kazać mu czekać potém, ale na Boga, ja nie mogę czekać!

— Musicie, odpowiedział zajątrzony Zygmunt, chcecież to nas Hospodara waszego przymusić, abym to co wasza wola uczynił?

— Ja nic nie chcę, tylko sprawiedliwości, krzyknął Gliński, a pokażę się li winnym, dam głowę, nie, niech oni dadzą gardło; trwać zaś dłużéj pod takim zarzutem godności méj i poczciwéj przodków moich Xiążąt Ruskich sławie, nie przystało. Miłościwy Panie, wołam i nie przestanę wołać sądu i sprawiedliwości bez zwłoki!

— Wieleż razy powtarzać mam, odpowiedział Król obrażony zuchwałą mową Kniazia, iż nie pora to sądu waszego?

— Nie pora! a więc pora mnie inaczéj sobie radzić, zawołał w gniewie Kniaź, ale pomnij Miłościwy Panie, abym się o taką rzecz nie pokusił, która i tobie i mnie na potém będzie żałośna!

To rzekłszy, na własnem uszy słyszał, pędem poszedł do drzwi i zaraz pojechał. Nie małéj też trwogi nabawił wszystkich zuchwalstwem swém i nie bez przyczyny, jak się to okaże. Co się stało pod ten czas w Litwie i jakie burdy poczynił, słyszałem od ocznych świadków, a co będę opisywał, to szczéra prawda, bo nie mało o tém gadano i ze wszelkiemi szczegóły, które dobrze w pamięci zachowałem.

Gliński jak skoro odjechał, prosto dążył w Litwę do swoich, zemstą a gniewem nie pohamowanym pałając; i jak skoro doma przybył, wnet listy do Moskwy przygotowawszy, wiernego sługę z niémi wysłał. Na które skoro otrzymał odpowiedź, od Wielkiego Kniazia, iż mu we wszystkiém co zamierzy pomagać bę-

dzie. A tak też i wojska wyprawione niebawem minąwszy Smoleńsko na mil trzydzieści w Litwę wszedłszy plondrować zaczęły. Przeciw którym, jako to masz po innych kronikach, wyszedł Zygmunt przyzwawszy w pomoc Tatary Perekopskie; nie przyszło do bitwy walnéj, gdyż Moskiewscy ustąpili chroniąc się jéj, a nasi też zmęczeni głodem a gorącością do Wilna nazad odciągnęli; i Tatarowie z niczém powrócili. Tak się tedy zamachy owe rozeszły,

1508. Król do Krakowa dla spraw koronnych jechał, kędy nabiwszy monety, przez Alexandra pozastawiane dobra, majętności, czynsze okupował, służebnym też a żołnierzom niepłatnym, żołdy pooddawał. Gdy my tu w Krakowie, a Kniaź Michayło po Litwie się jął jak szara gęś rządzić. Widząc że u Króla nic nie wskóra, sam też sobie sprawiedliwość zamierzył wyrządzić nad Zabrzezińskim. Jako miał przy sobie zawsze siedémset koni żołnierza, tak też z niemi dopadł do Grodna, gdzie Jan Zabrzeziński Marszałek Wielki, miał dwôr swój pod miastem. — Było to jakoś wieczorem gdy się ku miastu zbliżał w onym poczcie, i potkał w drodze, onę miłośnicę Zabrzezińskiego, o którą im

i poszło dawniéj. Jechała ona nie wiém zkąd do Grodna, do niego. Zatrzymali ją ludzie, a tuż i Gliński nadbieżał, a pójrzawszy i uznawszy iż ona była, zawołał.

— Toć sam Bóg mi nieprzyjacioły w ręce podaje.

Kobiéta ujrzawszy go na poły omdlała; ale ją ocucili i tuż wszystkim stanąć kazał swoim Gliński, a ją przed siebie prowadzić.

Jął tedy srodze z niéj szydzić, a nawet swoją ręką dał jéj policzek.

— Mów, zawołał, gdzie jest Zabrzeziński!

— Nie wiem, odpowiedziała.

— Jechałaś przecie do niego.

— Jechałam do Grodna, rzekła zalękniona niewiasta.

— Mów, jak wiele ludzi przy sobie chowa?

— I tego nie wiém, czasem mniéj, czasem więcéj, a ja ich nie liczyłam.

Jął znowu pytać o inne rzeczy, ale ona się wymawiała, że nic nie wiedziała. Tu widząc, iż nic się nie dowie, rozkazał rózeg naciąć w krzakach Kniaź i gdy z onemi ludzie przyśli, związać ją, a bić, pókiby wszystkiego, o co pytana będzie, nie powiedziała, polecił.

Na on czas ulękła się bardzo ona słaba niewiasta i we łzy się rozpływając, pełzła do nóg Glińskiemu, obiecując wszystko co wiedziała, rozpowiedziéć.

Powiedz naprzód, odezwał się, wiele ma ludzi przy sobie Marszałek?

—Kilkudziesiąt, odpowiedziała.

—Dobra nasza, rzekł Gliński, nie spodziéwa się gości! Dwór czy obronny?

—Jedne wrota kute od miasta, mur nie wysoki.

—Jest wał i fossa?

—Niéma.

—Kto tam z nim teraz?

—Nie wiém.

Kniaź znowu do rózeg, ale kobiéta rzuciła mu się do nóg, zaklinając że nie wiedziała, bo kilka dni nie była.

—Więc i Zabrzezińskiego może niéma?

Milczała niewiasta.

—Nie wiesz? spytał groźno, i skazał na sług.

—Wiém że jest! I tak mu wyśpiéwała co tylko chciał wiedzieć, ba i tego się dopytał, co podczas o nim gadano, a tak rozjadłszy się, a

kobiétę rozkazawszy do drzewa przywiązać, sam chyłkiem nocą, pod on dwór Marszałka pośpieszył. Wszystko tam już spało i światła nie było żadnego. Ludzie Kniazia wyłamali piérwsze wrota od miasta i rzucili się w dziedziniec. Schlejnitz niejaki Niemiec z Misznij, zausznik Kniaziowski, z dwóma drugiemi, naprzód się wysworował do dworu, a ostawiwszy do koła ludzi, wpadł wewnątrz do komnat. Obudzony hałasem Marszałek porwał się był i siedział w pościeli, gdy do niego wpadli Schlejnitz z Turczynkiem Kniazia i drugimi. Chwycił się widząc ich za szablę, która u głów wisiała, ale mu jéj nie dano, bo go zaraz zwlekli w pośrodek izby, i daléj nie czekając, Niemiec ów Turczynowi ściąć Marszałka kazał. Wołał on, aby mu chwiłkę dano pomodlić się, ale Schlejnitz krzyknął.

—Pójdziesz ty i tak do piekła!

Zaczém Turczyn ów, który był sprawny do tego, pochwyciwszy za szyję Zabrzezińskiego, jednym zamachem głowę od karku oddzielił. Tu tedy nie mieszkając i wetknęli ją na długą kopję i wybiegli w podwórzec przeciw Glińskiemu, który to obaczywszy, a kazawszy jeszcze

poświęcić, dla lepszego przekonania iż nie kto inny był tylko Marszałek, zawołał na odwrót do swoich i niosąc jakby znak zwycięzki, tę głowę przed sobą, pociągnął ku Wilnu co prędzéj.

Nieśli ją tak cztéry mile przed nim aż do jakiegoś tam jeziorka, w którém pomiarkowawszy się, utopić ją rozkazał. A to był początek Glińskiego roboty, żeby naprzód swojéj staréj zemście dogodzić. I zebrawszy ludu jeszcze więcéj, ba do dwóch tysięcy, rozpuścił ich po Litwie, rozpisawszy imiona swych nieprzyjaciół, których zabijać rozkazał bez litości, i wiele ich pod ten czas naginęło. Sam, z resztą swoich ruszył do Nowogródka, gdzie też spodziewał się naleść ślachtę, których sobie nieprzyjaciołmi rozumiał, a tam ich zachwyciwszy nie mało znowu pomordował. Tak to on człowiek wiele krwi potrzebował, na zaspokojenie swéj zemsty, więcéj ni ocz nie dbając, bo był pewien obrony od W. Xiędza Moskiewskiego. A tu pokazał na co stał, bo których rozumiał przychylnych, jął ich jeszcze wielkiemi obietnicami sobie jednać, okazując jako nie chybnie całe Xięztwo Litewskie w moc jego popadnie. Przyszedł mu też w pomoc Wasil Kniaź, rodzony

jego, którem i swoich i królewskich zamków nie mało mu poddał. Sroga się ztąd wojna zawzięła o któréj już pewnie i po inszych kronikach czytać będziesz przetoć jéj nie opisuję.

Dowiedziawszy się Król Zygmunt o tém co zaszło w Litwie, a o srogiéj panów i ślachty klęsce, frasował się bardzo bo wielu a mianowicie Marszałka Zabrzezińskiego miłował, innych jako pan poddane swe żałował. A tu czasu nie było płakać i lamentować, bo się Litwie bronić, a Królowi o wspomożeniu jéj myśléć, należało co najrychléj.

Dwór Zygmuntowski onych czasów, cale był odmienny od Olbrachtowego i Alexandrowego, boć i Zygmunt braci swéj nie był podobny. Poźniéj się to bardzo też znowu odmieniło, ale o tém potém. Za Olbrachta bywało, acz to ledwie pomnę, ale od ludzi słyszałem wiele, dwór sama młodzież a rozpasańce składała, która Królowi do swawoli pomagała, Alexandrowski też albo był pusty, albo swojemi go Kniaź Gliński obstawiał. I u Alexandra byle na oko spaniale na resztę nie baczył, to nam barwy dawano wymyślne a coraz inne, strojono, cacano, a Król się temu miłował,

lubował i ni ocz z resztą nie dbał, choć nieprzyjaciel nas łupił a grosza w skarbie nie było i ludzie nie płatni a wszystko co miał to pozastawiał. Toż za Olbrachta, wesoło tylko żyli i po wszystkiém, Król sam nieraz sobie z bratem Kardynałem, albo i lepiéj od niego jeszcze pozwolił. Tylko co po onéj sławnéj pod Bukowiną, gdzie mój rodzic był, po takiéj klęsce, a utracie niepowetowanéj, przybywszy do Krakowa, to biesiadował, weselił sobie ze swymi, tańce wyprawiał. Raz, gadają samotrzeć w nocy na miasto poszedłszy i cekłując sobie po pijanu w ulicy, potkał się też z pijanymi. Ustąp, ustąp, a gdy jeden drugiemu z drogi nie chce, przyszło do zwady i do szabel, tak że Króla któryś omackiem w twarz ranił, aż od tego długo chorował. Już za się podobnych spraw Zygmuntowi nikt nie pokazał. Obyczajów był poważnych, a nic tyle o sobie myślał ile o potrzebach kraju, jako tego dokazał zaraz po koronacij wykupując siła królewszczyzn, Ziemię Spiską, Oswiecim, Proszowice i innych wiele. Jeśli się zabawiał, to chyba łowy które lubił bardzo, zwłaszcza na srogiego zwierza, co go w skrzyniach przywożono nieraz a psy nań

w obliczności jego spuszczano. Kobiéty też nie zbyt miłował, ani tak niepomiarkowanie jako Fryderyk, a którą raz miał po woli, o téj nigdy nie zapomniał, ale jéj los przystojny uczynił. Tak też było i z Katryną Ślężanką, z któréj miał syna Janusza, co go chowali na królewskim dworze, jako królewskie dziecię i nauczycieli mu dodano, gotując go do stanu duchownego. A tu rozpowiem, jako Król potém onę Katrynę, która była bardzo czudna, wydawał za mąż, bo to nie łatwie przyszło, dla sromoty jaka była wziąść nałożnicę królewską, i przetoż jéj nikt nie chciał, choć Zygmunt wiele uczynić obiecywał, bo mu ona srodze płaczem dokuczała wystawując, jako ją zgubił na wszem, iż losu mieć nie mogła. A był na dworze królewskim Kasztelan naówczas Biecki (coś to koło r. 1508 jeśli pomnę dobrze)
1508.
Jędrzéj z Kościelca, uczciwego za się rodu i herbu starodawnego, możnéj nawet familij człowiek, tylko jako mówiono, bardzo chciwy a wzniesienia żądny.

Owa za się Katryna Telniczówna szukała tylko kogo by sobie ułowiła i rzuciła okiem na niego. A że była kobiéta gładka i zręczna,

jęła go podchodzić, jęła Króla głaskać aby mu co obiecywał, spodziewając się żeby z nią miał się żenić. On zaś chocia był bardzo dobrego rodu człek i możny, a mógł się bez tego spodziewać wiele, dał się uwieść kobiecie, jako to pospolicie bywa. A działo się to wszystko w takiéj tajemnicy, że my dworacy cośmy ustawicznie patrzali na osoby otaczające Króla, tegośmy przecie nie postrzegli aż bardzo późno. Czyniono zaś było tajemnie dla tego, aby familja Pana Jędrzeja z Kościelca, którą miał bardzo dumną, przeszkód nie robiła, a nie chciała go od Katryny odstręczać, coby niechybnie się stało, gdyby bracia a powinowaci jego o tém wiedzieli.

A owa zręczna kobiéta, jak mu jęła głowę bechtać łaski królewskiemi, jak mu się jęła uśmiechać i wielką miłość udawać, co jéj łatwie przyszło, bo była piękna i rozumna, choć nie dobrych obyczajów kobiéta, jak go jęła podchodzić, mamić, łapać, tak też dwiema razem złowiła go wędami, co dość było jednéj. A naprzód ułowiła go wdzięki, które wprzód Królowi była dobrą ceną sprzedała, powtóre ułowiła go obietnicami wielkiemi. Widując ją

codziennie, nie potrafił się temu oprzéć Pan Biecki, długo się ze swojém sumieniem rachował i wahał, nareście rzucił się też, by w przepaść z zamkniętemi oczy. Tu gdy już pewną była jego rezolucij Katryna Telniczówna, dopieroż do Króla w prośby; a prawdę rzekłszy Zygmunt ją bardzo kochał i więcej nad wszystkie w życiu kobiéty, jakie miał. Alboż co odmówić można białogłowie, którą się kocha? Owoż i Król na prośby jéj, wezwawszy do siebie Kasztellana, spytał go tajemnie naprzód, czyli by miał chęć żenienia się z Katryną. Na co odpowiedział Kasztellan, iż jeszcze nie jest pewien, ale myśl tę miał. Tu dopiero Król otworzył mu się.

—Wiesz WM. rzekł, bo to nikomu nie tajno, iż Katryna Telniczówna była moją miłosnicą, a kochałem ją i kocham wielką miłością. Ludzie też ją ogadują ztąd, i chciałaby poszedłszy uczciwie za mąż, żyć daléj jak Bóg przykazał. Owoż, gdyby ją kto wziął może się spodziewać; iż mu ten wstyd, jeśliby wstyd miał, sowicie nagrodzę. Ano, dodał Król, żenią się ludzie i gorzéj a przecie nikt nic na to; bo choć Telniczówna zawiniła mo-

że, to z miłości wielkiéj ku jednemu, a nikt nie powie, aby na niéj inna jaka plama była, by najmniejsza.

Tu Zygmunt złote góry jął obiecywać Kasztellanowi, dając na to słowo swoje królewskie, iż ich miał obsypać, czém by chcieli, tak ona kobiéta miała jeszcze Króla w ręku. Boć i potém różnie różni gadali, a to pewna, że poszedłszy za mąż, podjeżdżała często do Krakowa, widując się potajemnie z Królem, który i dziećmi jéj potém bardzo się opiekował, jakby swemi. Owoż Kasztellan który tylko braci swéj lękał się i innych krewnych, po owych obietnicach wielkich, już jął się umawiać z Katryną o wesele. Uradzono tedy, aby je po cicheńku odbyć, tamże na Zamku, co i Król radził. Tak się i stało, ale szydła w worku nie utaić, ledwie się to stało, cały Kraków wiedział o tém, poszła wieść jako strzała, że Król miłosnicę swą wydał, za Pana Jędrzeja z Kościelca. Dowiedzieli się i bracia jego, których gniew okrutny opanował, iż taką obelgę imieniowi ich wyrządził. Zebrał się Senat w krótce coś potém, w którym i dwaj bracia Pana Jędrzeja zasiadali, był tam i Król.

Jak skoro wszedł na salę Pan Jędrzéj, postrzegli go bracia, że swe miejsce zająć miał, tak obadwa porwali się z swych miejsc i starszy zawołał.

—Zarzekamy się, jako siedzieć nie będziemy, razem z bratem naszym, który imie i poczciwą sławę przodków naszych splamił, zaślubiając nierządnicę królewską. To powiedziawszy dwaj bracia wyszli natychmiast z izby; a Jędrzéj został blady i w pół tylko żywy. Słówka nie rzekł, oczy spuscił i tak końca dosiedział, ale więcéj do Senatu potém się nie pokazał, a familja cale się go zaparła i herby mu na domu jego pomalowane łamać sługom kazali i różne despekta a obelgi wyrządzali. Czém tak się gryzł, Pan Jędrzéj, iż wpadł w melancholją, zachorzał i do siebie stał się niepodobnym. Ale Król słowa jako był obiecał dotrzymał wcale, bo go uczynił Podskarbim Koronnym i dał mu trzymać Żupy solne, z których dochód był nie mały, a też Starostwa Spiskie, Oswiecimskie, Zatorskie, Sądeckie, Bydgoskie. To go jednak, acz bardzo wyniósł się i pobogaciał, nie pocieszyło, po utracie poczciwéj sławy. Urodził mu się też i syna-

czek którego bardzo miłował, potém córka Beata, co to ją Król opiekował się właśnie gdyby własną, boć i różnie tam o tém gadali. Żył też kilka lat w tém utrapieniu Podskarbi, słodząc zebranemi skarby, ponoszoną od swoich sromotę; ale wesołości i humoru nigdy nie odzyskał, a zdrowia utraconego. Toż potém gorsze jeszcze utrapienia go dotknęły, bo naprzód synaczek jedyny którego wielmi kochał, umarł, po którym płakał a rozpaczał bardzo, potém go obiecana przez Króla Kasztellanja Krakowska ominęła; od czego mu życie całe zbrzydło, gdyż jeszcze i owa kobiéta dopiąwszy swego dojadała, a oczy wypiekała. To już Podskarbi z onéj melancholij szukał śmierci jako mógł i kiedy się pożar zajął w Żupach solnych, to wskoczył w ogień, wrzkomo aby ratował, ale istnie z rozpaczy. A przecież go tu śmierć nie chciała i wyszedł cało, tylko ogień z drugim mieszczaninem krakowskim, co tam był ugasili z wielkiém swojém niebezpieczeństwem. Potém za się gryząc się daléj a daléj, bo mu cóś Król łask umykał, z żalu umarł. Została po nim córka jedyna, którą Król wydał, za Illię Xięcia Ostrogskiego, bardzo przystojne

wesele sprawiwszy, jako o tém niżéj napiszę.

A tu już onych lat Królowi wiele czasu wojny zabrały, o których pisać nie będę, bo aczem gdzie i był z dworem a panem, ale o tém dostatecznie najdziesz u kronikarzy, którzy owe sławne bitwy Zygmuntowe szeroko opisali.

KONIEC.

200
230
180
610